Rok II. **Wrzesień 1917.** **Nr. 9.**

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 18 kor., za półrocze kor. 9. — Cena numeru pojedynczego 2 korony (2 marki). — Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13-15.

Wrzesień 1917. **ROK POLSKI** Rok II. Nr. 9.

O różnych narodowych przedstawicielstwach.

Dzisiaj wszyscy przyznają prawo do bytu narodowi naszemu. Sprawa polska coraz wybitniej wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc w szeregu zagadnień wojennych. Rośnie zainteresowanie nią, u jednych dobrowolne, u drugich przymusowe. Nawet ci, którzy dla określonych celów poruszali ten problem w ciasnym zakresie, widzą dzisiaj, że go w swych dłoniach utrzymać nie potrafią, że zatacza on coraz szersze kręgi. W takiej chwili szczególnie niedogodnym i bolesnym jest dla nas ten fakt, że nie mamy ogólno-narodowego przedstawicielstwa. Nie mamy organu, któryby z pełnem prawem przemawiał w imieniu narodu, któryby od Polski całej do tego otrzymał formalne upoważnienie. Jest to bardzo dotkliwa konieczność wojenna, która prawdopodobnie ustąpi dopiero z końcem obecnej wojny. Trudno bowiem dzisiaj marzyć o takiem przedstawicielstwie, gdy wojna przecina nas frontem bojowym, a poza frontem umiała wytworzyć wprost nieprzebyte kordony, pokrajać niemi ziemie polskie w dziwaczny sposób, niedopuścić do jakiegokolwiek zetknięcia się niezależnych żywiołów polskich. Na takiem tle wyrastają od czasu do czasu samozwańcze reprezentacye, których byt umożliwia obca protekcya i przymusowe milczenie ogółu polskiego.

Mimo takich warunków niepodobna głosić zasady abnegacyi i bezczynności. Niemożliwem jest prowadzenie ogólno-narodowej polityki przez oparcie jej na współdziałaniu całego społeczeństwa polskiego. Ale różne dzielnice Polski i różne skupienia polskie mają prawo zabierać głos w sprawie naszej przyszłości, nikomu

nie wolno odmawiać zasadniczo tego prawa. Nie można tu ustalić zasady prymatu jednej dzielnicy, jej pierwszeństwa w prowadzeniu polityki narodowej. Niema Polski naprawdę niepodległej bez połączenia ziem, podzielonych na trzy części; niema też polityki narodowej, nieuznającej równorzędności wszystkich dzielnic Polski. Rozbiór Polski był naprawdę jej rozbiorem w tem znaczeniu, że różnym państwom przyznał integralne części dawnej Rzeczypospolitej, które tylko razem mogą żyć pełnem życiem. Linie graniczne pobiegły środkiem ziem polskich, a nie okroiły tylko ich mniej istotnych części, pozostawiając najważniejszą część jednemu tylko mocarstwu. To też niema dzielnic mniej lub więcej ważnych dla polityki narodowej, niema dzielnic bardziej od innych powołanych do jej prowadzenia. Zasadniczego znaczenia pod tym względem niema ani liczebność, ani tradycya polityczna, ani chwilowa konjunktura wojenna, która daje szczególnie żywą sposobność do wystąpień zewnętrznych.

Podobnie nie można odmawiać prawa zabierania głosu w sprawie polskiej tym licznym polskim elementom, których fala wojny wyniosła poza etnograficzne granice Polski. Tuła się po prasie frazes o rządach emigracyjnych. Pomijając już całą nonsensowość tego zarzutu, występującą na tle dzisiejszych warunków wojennych, trzeba stwierdzić, że emigracya nie chce rządzić krajem, chce z nim tylko współdziałać, a że słucha innych jeszcze wiadomości o tem, co się dzieje w kraju, niż te, które rozszerza Biuro Wolffa, Polskie Biuro Prasowe w Bernie (N. K. N.) i które komunikują różne telegramy z kraju, jak np. telegram Marszałka Rady Stanu, donoszący *via* Sztokholm o objęciu władzy rządowej przez tę instytucyę — to tylko dowodzi, że tak zw. „emigracya" zachowuje żywy kontakt z ziemią ojczystą, i że wie o tem, co się naprawdę dzieje. Zresztą na tej emigracyi znajdują się miliony Polaków, a setki tysięcy stają lub staną pod bronią (Stany Zjednoczone!); trzeba więc sporej śmiałości, by tym żywiołom nakazywać bierne posłuszeństwo, zabraniać im samodzielnego prowadzenia polityki polskiej. Tem bardziej, że mogą one przemawiać do szerszego audytoryum w sposób o wiele swobodniejszy, aniżeli to robią butni rozkazodawcy z pałacu Kronenberga.

A więc powiedzmy krótko: nikt niema dzisiaj formalnego prawa, by przemawiać w imieniu całego narodu polskiego, nato-

miast wszyscy Polacy, czy z tej czy z tamtej strony frontu, czy na polskiej ziemi czy na wychodźtwie, mają prawo i obowiązek dbać o postępy sprawy polskiej, dokładać wszelkich starań, by ta sprawa zyskiwała sobie grunt coraz szerszy i mocniejszy.

Sprawa naszego przedstawicielstwa jest aktualną od samego początku wojny. W dwa tygodnie po jej wybuchu powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, który po pewnym czasie zaczął odsuwać od praw inne dzielnice, zaczął podawać się za legalną reprezentacyę narodową. Po dwóch latach zawodów przycichła ta instytucya, natomiast w Warszawie powstała Tymczasowa Rada Stanu, która też chciała uchodzić za rząd narodowy. Pretensye do tego przodownictwa nie zawsze u N. K. N. i u T. R. St. występowały z równą natarczywością. Galicyjska instytucya musiała poskramiać swoje zapędy pod naciskiem opinii publicznej, podobnie i działalność Rady Stanu wykazuje okresy skromnego milczenia. Ale zasadniczo tak N. K. N. jak i R. St. manifestowały swoje rzekome prawa przedstawicielskie; obydwie te organizacye w imieniu narodu składały deklaracye, potępiały niewygodne im hasła polityczne, usiłowały pertraktować z obcymi. Dzisiaj kończą one swój żywot, nieszczególnie zapisany w dziejach sprawy polskiej. Los obszedł się z niemi okrutnie. Odmówił im nawet lekkiej śmierci i zaszczytnego pogrzebu.

Jeżeli zwracamy uwagę na te instytucye, to nie dlatego, by znęcać się nad tem, co dogorywa, lecz by zrozumieć, jaki jest wspólny im błąd organiczny, który podciął ich rozwój u samych podstaw. Łatwo znaleść wiele zewnętrznych, drugorzędnych przyczy ich upadku. Zarówno N. K. N., jak i T. R. St. popełniły wiele błędów taktycznych. Nie umiały się zoryentować w istotnych nastrojach polskiego społeczeństwa. Nie przebierały, szczególnie N. K. N., w doborze osób i w doborze narzędzi politycznych. Ale ostatecznie choćby one tych wszystkich błędów zdołały uniknąć, to nie wiele zmieniłyby obrót wypadków. Samo założenie polityki narodowej było błędne i ten zasadniczy błąd musiał się pomścić wcześniej czy później.

Zarówno N. K. N. jak i T. R. St. powstały jako instytucye dzielnicowe. Tylko ludzie pochodzący z pewnej części Polski mogli znaleść tam swoje miejsce. Stwarzało to pierwszą bardzo ważną trudność w ich działalności. Instytucya dzielnicowa w chwili,

gdy chodzi o los całego narodu polskiego, znajduje się już przez to samo w bardzo ciężkiej sytuacyi. Nie może wiedzieć, jaki oddźwięk jej polityka znajdzie w innych zaborach, nie może z niemi utrzymać żywego kontaktu. Tembardziej nie mógł tego dokonać galicyjski N. K. N., który po krótkiej chwili pierwotnego oszołomienia wojennego stracił oparcie ideowe na swoim rodzimym gruncie; a tak samo R. St., która od samych początków była obcą swojemu najbliższemu społeczeństwu.

Ale ostatecznie zarzut dzielnicowego pochodzenia da się odeprzeć tym argumentem, że przecież w ciągu wojny trudno marzyć o ogólno-narodowem przedstawicielstwie, że trzeba robić co się da choćby w ciaśniejszym zakresie. Można powołać się na to, że konieczność wojenna nie pozwala na powstanie zupełnie prawidłowego przedstawicielstwa, ogarniającego wszystkie dzielnice, a choćby nawet opartego na sprawdzonem zaufaniu jednej tylko dzielnicy. Przypuśćmy, że tak jest, zgódźmy się na tę konieczność wojenną. Zgódźmy się też na to, że takie przedstawicielstwo dzielnicowe musi zabierać głos w sprawach ogólno-narodowych, że nie może dzisiaj zamykać się w prowadzeniu czysto krajowej polityki. Natomiast przyjrzyjmy się treści tej działalności politycznej. Nie pytajmy się, j a k i e m p r a w e m przemawiały w imieniu narodu te instytucye, lecz j a k przemawiały.

Otóż właśnie w zasadniczej treści polityki N. K. N. i T. R. St. tkwi źródło jej niepowodzenia. Ich polityka była zawsze dzielnicową nie tylko co do swojej genezy i przyznanego im zakresu działania, lecz również co do swojego ducha. Jeżeli koniecznością wojenną jest powstawanie dzielnicowych instytucyi, to ta konieczność nie może wiązać ich pragnień i dążeń politycznych, nie może skłaniać do dobrowolnego zacieśniania sprawy polskiej do sprawy jednej lub chociażby dwóch dzielnic.

Takie stanowisko nie uchodziło nigdy, ale mogło być cierpianem przez opinię publiczną dopóty, dopóki sprawa polska na widowni międzynarodowej występowała w bardzo mglistych kształtach. Wtedy mógł się jeszcze utrzymać fałszywy realizm, który z tupetem twierdził, że tylko bronione przez niego częściowe rozwiązanie sprawy polskiej ma widoki powodzenia, mógł z miernem powodzeniem piętnować przeciwników jako marzycieli i warchołów. Ale stosunki się zmieniły w trzecim roku wojny. Sprawa pol-

ska wysunęła się na bardzo wybitne stanowisko. Zjawił się program jej rozwiązania, sięgający bardzo daleko pod względem terytoryalnym i prawno-państwowym. Znikła pozorna sprzeczność, która istniała między hasłem zjednoczenia i niepodległości. Cele wojenne zarysowały się zupełnie wyraźnie. Stało się jasnem, że wojna toczy się o to, jakie będą granice przyszłej Polski; a ponieważ od rozmiarów państwa polskiego zawisła jest jego rzeczywista niepodległość, chodzi więc w wojnie o to, czy Polska będzie zarówno zjednoczoną jak i rzeczywiście niepodległą. Wtedy przedstawiciele ciaśniejszego programu, jeżeliby mieli naprawdę zmysł polityczny, powinni byli ustąpić sami i zapaść w ciszę. A tymczasem nie mogąc pogodzić się z tak zawrotnym dla ich horyzontu politycznego programem, brnęli dalej na raz obranej drodze z uporem godnym lepszej sprawy. Chcieli za wszelką cenę utrzymać się na widowni politycznej. Musieli z niej zejść pod naciskiem widzów, bynajmniej nie żegnani oklaskami.

N. K. N. i T. R. St. upadły, gdyż zajmowały w gruncie rzeczy niepolskie stanowisko polityczne. Albowiem czy ten, kto pracuje nad tem, by wstrzymać rozpęd sprawy polskiej, który jej nadaje wojna i stara się utrzymać jej jednostronne rozwiązanie, salwujące obce interesa, prowadzi naprawdę polską politykę?

Wiele oburzenia i protestów wywołał zarządzony w Królestwie Polskiem podział legionistów na *„National-Polen“* i na takich zwyczajnych Polaków galicyjskiego autoramentu. Oburzenie było powszechne, wyrażały je także organy, popierające N. K. N. i T. R. St., ale czyż naprawdę ci ludzie oburzając się na ten podział działali całkiem konsekwentnie? Bądźmy sprawiedliwi. Mamy tu przecież do czynienia z ideą, która stanowi podstawę polityki tych dwóch instytucyi. Tylko zastosowano ją w sposób przykry i drażniący. Przecież N. K. N. a zanim R. St. od samych początków swojej działalności podzieliły naród polski na dwie kategorye: na *„National-Polen“* i na zwyczajnych Polaków. Tylko pierwsi mieli wejść do ziemi obiecanej, mieli stanowić państwo polskie, ci drudzy powinni byli pogodzić się z swym losem, zadowolnić „ustępstwami“, a nie robić trudności jedynie mądrej polityce. Tylko jedni Polacy mieli pełne prawo zabierać głos w sprawie polskiej, inni zobowiązani byli do posłuszeństwa. Odsądzało się całe dzielnice od polskiego patryotyzmu, odmawiało

się im kultury politycznej, szlachetniejszych pobudek, chęci pracy dla narodu. A więc znaleźli się tacy Polacy, którzy na różne zawody i przy różnych sposobnościach dzielili i klasyfikowali naród polski na dwie kategorye i oburzali się, jeżeli ktoś mówił o jedności narodowej. Pomysł klasyfikowania narodu na dwie części wyrósł niestety na polskim gruncie. Naród natomiast poczuł się jednym, otrząsnął się z pierwotnej apatyi i zareagował mocno przeciw wszelkiego rodzaju podziałom.

Objawem tej reakcyi są pamiętne rezolucye Kół Polskich z dnia 28. maja 1917 roku. Uchwalone zostały przez przedstawicielstwo jednej tylko dzielnicy, wybrane lub mianowane w dawnych przedwojennych warunkach. Mimo to zostały przyjęte z entuzyazmem przez cały naród polski. Niema co do tego dwóch zdań, że wszystkie zabory, wszystkie narodowe żywioły, gdziekolwiek się znajdują, stoją na tym samym gruncie. Otóż w czem tkwi ta magiczna siła uchwał krakowskich, która odrazu postawiła tak wysoko w opinii polskiej wiedeńskie Koło Polskie, która wywołała tak żywe echo na dalekiej polskiej emigracyi na wschodzie? Rzecz jasna — w tem, że reprezentacya jednej dzielnicy objęła swym programem cały naród, że objawiła zrozumienie dla jego życiowych konieczności.

Widzimy na tym pięknym przykładzie, że w ciągu wojny i na gruncie istniejących warunków politycznych mogą się ujawniać ogólno-polskie programy. Zasadnicze znaczenie ma duchowa jedność, która w odpowiedniej chwili wyjdzie poza dzisiejsze przeszkody i doprowadzi także do materyalnego zjednoczenia.

Prawdziwe narodowe przedstawicielstwo trzeba budować u podstaw. Na nic nie zdadzą się dyktatorskie zapędy i mniej lub więcej udatne zamachy stanu. Zewnętrznem poparciem i lekceważeniem innych nie znajdzie się posłuchu w narodzie. Rozbici na wiele dzielnic, odcięci od siebie i wzajemnie dla siebie zamknięci, znajdziemy drogę do porozumienia przez to, że pragnieniami swemi obejmiemy całą polską ziemię, że zrozumiemy, jak bardzo wzajemnie dla siebie jesteśmy potrzebni. Stosunki wojenne mogą w drobnych odcieniach wpływać na taktykę polityczną. Nie pozwalają, by na wszystkich częściach naszej ziemi równie silnie pulsowało na zewnątrz życie polityczne. Wywołują

konieczność, by na różnych terenach niezależnie od siebie, organizowało się społeczeństwo polskie dla obrony swych praw w różne organizacye. Chodzi o to, by te partykularne, doraźne zrzeszenia hołdowały tej samej idei — zjednoczenia i niepodległości. Gdy przyjdzie chwila odpowiednia, zdołają one z łatwością wytworzyć prawidłowy rząd narodowy. A wtedy wyjdziemy z chaosu wojennego w pełne życie narodowe i zdołamy „świat zadziwić“ wewnętrznym ładem i bujnością państwowej pracy.

Proteus.

Droga twórczości Jana Kasprowicza.

„Ueber allen Gipfeln ist Ruh“.
Goethe.

Żaden z poetów polskich nie rozwijał się tak niezmiernie wolno, jak Jan Kasprowicz. Może dlatego, że rozwój nie polegał tylko na wzmożeniu talentu — artyzm Kasprowicza nie był wszystkim. Rósł on, jakby całym sobą i, zależnie od tych głębokich i szerokich przemian moralnych, zmieniała się i jego sztuka, a dojrzewanie do zrozumienia jego głębin, dorastanie do wyżyn, nie odbywa się tak prosto i szybko. Wzmagał jego indywidualny rozwój i równoległe z nim idący postęp całej naszej sztuki. Gdy Kasprowicz tworzyć poczynał, największemi gwiazdami ówczesnej liryki był Asnyk i Konopnicka; poziom sztuki w tym okresie był nizki. Dystans jaki dzieli sztukę pozytywizmu i modernizmu, modernizmu i chwili obecnej, składa się w sumie na drogę rozwoju Kasprowicza, dlatego wydaje się ona tak olbrzymią, gdy sięgniemy wzrokiem wstecz, od szczytów jego dzisiejszej twórczości ku pierwszym próbom młodzieńczym. Dlatego tak dziwne wydają się nam i dzieje jego sławy, tak dziwnemi sądy o nim, choć, biorąc rzeczy historycznie, są one zrozumiałe. Wiersze tendencyjno-społeczne, które zjednały mu sławę — porywać ni zachwycać nas dziś nie mogą, choć widzimy dziś jasno, jak dodatnio odbija ich tężyzna, jędrność, prostota i prawda na tle śpiewnej retoryki Konopnickiej i w tym zbliżeniu do prawdy i ludowości stoi on zapewne o tyle wyżej od Konopnickiej, co ta od Brodzińskiego. Wręcz inne sfery zjednał sobie Kasprowicz hymnami. Gdy pozytywiści cenili w nim ludowca i z niepokojem patrzyli na nową fazę twórczości, dopatrując się „skrzywienia przez modernizm“, moderniści podnosili

w jego sztuce symbolizm i metafizykę. Hymny, które czyniły wrażenie zenitu twórczości, okazały się etapem w połowie drogi. Dziś, gdy znamy już dalsze losy twórczości, jasnym jest, że głęboko religijne i mistyczne przeżycia poety, nic z literackim mistycyzmem i jego modą wspólnego nie mają. Właśnie absolutne niezrozumienie istoty życia religijnego u tych mistycyzujących i mistyfikujących siebie i innych pisarzy, do których tak świetnie stosuje się bajka Lemańskiego o lilji wodnej, co pragnąc ulecieć do nieba, prosiła o przecięcie łodygi — mogło być jedynie powodem, że Kasprowicza wliczali do swego grona. Nieufność zaś w szczerość religijnych przeżyć Kasprowicza, którą okazywali inni krytycy, wynikała zdaje się z niemożności rozróżnienia wogóle szczerości od literackiego *façon de parler.* Wogóle dzieje sławy Kasprowicza nasuwają gorzko sceptyczne uwagi: rzeczy wartości najgłębszej, cały okres twórczości między hymnami a obecną chwilą, arcydzieła głębi i wzniosłości, są najmniej znane...

Ta wewnętrzna możność przebycia tak olbrzymiej ewolucyi, ta zdolność do ciągłego rozwoju, do towarzyszenia w nim, bądź co bądź, paru odrębnym fazom naszego życia kulturalnego, przy zachowaniu tak wyraźnej odrębności i jednolitości, świadczy o bezmiernym bogactwie i nieprzepartej mocy jego ducha. Gdy większość rówieśnych, a nawet młodszych odeń pisarzy, częstokroć tylko echa własnej pieśni nuci, on, co skargę na swój „walący się dom“ zanosił, tworzy dalej. Z głębokiego poczucia własnej niewyczerpanej siły zrodziły się te słowa:

„... W lesie
Zamarły drzewa. Lecz szumiąca echem
Wieczności, w tajniach gór zrodzona rzeka,
Hymn swój, wciąż żywy, w dal miesięczną niesie“.

Powtarzający się wciąż w twórczości Kasprowicza motyw dążenia, motyw wędrówki dalekiej daje nam dziś, gdy drogę tę ogarnąć możemy, wrażenie jej poczucia, urasta do jakiegoś wielkiego symbolu dziejów ducha poety. Głęboko odczuł istotę twórczości Kasprowicza Stanisław Brzozowski, pisząc o nim, że „przez błonia życia idzie śpiewający z jedyną wierną towarzyszką, śmiercią“. Życie poetyckie Kasprowicza było i jest mistyczną pielgrzymką ku treści najwyższej, stąd powtarza się tak często

ten motyw niby umiłowany refren. Jak dla poznania czyjejś filozofii najlepszą drogą jest odnalezienie zasadniczych problematów, jakie sobie ów filozof stawiał, oraz pojęć, któremi operował, tak dla poznania ducha poety — zrozumienie natury motywów i symboli, poprzez które się wypowiadał.

Chcąc w krótkim szkicu [1]) zawrzeć charakterystykę twórczości poety, obrałem historyę tego jednego motywu dążenia za nić przewodnią. Jednym z zasadniczych elementów metafizyki Kasprowicza jest przeświadczenie o jedności wszystkiego, tęsknota metafizyczna jest więc tęsknotą do źródła wszechrzeczy, które jest jedno. Ów rzekomy panteim Kasprowicza był tylko jednym z przejawów tej tęsknoty, stapianie się zaś uczuciowe z przyrodą, z jej żywiołami — docieraniem poprzez nią do treści najwyższej w niej utajonej, dążeniem do połączenia się z nią.

„Począłem wierzyć, że zbożom jest dan
Ten sam, co ludziom Duch i że przed wieki
Wypłynął z Boga wraz z tą falą rzeki,
Że tylko człowiek, zbyt pewny swych praw,
Drzewo odgrodził od siebie i staw“.

Tak przedstawia nam poeta w „Drogach Krzyżowych“ swą wiarę niezmienną. I już w młodzieńczych utworach przejawia się tu z całą mocą, bądź świadoma siebie, jak świadczy ten wiersz:

„Duchu człowieka,
Ty od początku do końca
Mknący ku treści,
W której się koniec
I początek mieści“.

bądź w formie aintelektualnej, wizyi pochodów i pielgrzymek, jak np. w wierszu „Szlakiem symplońskiej drogi“, o motywie przypominającym pochód lasu w Makbecie.

Poraz pierwszy z całą potęgą i ponurą grozą przejawił się ten motyw pielgrzymi w „Święty Boże“, w upiornym pochodzie nędz ludzkich, ziół i traw, wiedzionym przez śmierć ku jedynemu celowi — mogile. Gdy hymn śpiewany za wszystkich i jakby ze

---

[1]) Obszerniejsze studyum w przygotowaniu.

wszystkiemi przechodził w monolog duszy jednej — zmieniał się i pochód w wędrówkę „samotnej tęsknoty, poklękującej na krzemiennej drodze z kielichem goryczy w dłoni i z czarnym krzyżem na wątłym ramieniu“ *(„Salve Regina“).* Rozbrzmiał znowu w długim, przewlekłym jak ludzka tęsknota, gubiącym się w szerokich nawrotach, zniżającym się ku padołom grzechu, wznoszącym się wzwyż ku męce ofiary hymnie, „Marya Egipcyanka“. Pieśń to rozległa, co zdaje się stać przedługą wstęgą wieki trwającej drogi „hen ku tej rzece nieznanej, hen ku tej ziemi dalekiej, gdzie Chrystus cuda swe czyni“. Balladowe nawroty tego hymnu, dając nieokreśloność czasu akcyi, wynosząc nas niejako ponad czas, każą nam uczuć pielgrzymki tej nieskończoność. W tym jakby niemilknącym hymnie zamknął Kasprowicz nieskończone dzieje tułactwa ludzkiego, jakie w potężne dramatyczne formy ujmowali: Ryszard Wagner w „Tannhäuserze“ a Wyspiański w „Powrocie Odyssa“. Lecz gdy tam uczuciem grozy dramatycznej zgłębiona została przepaść, co szczyty tęsknot od głębin upadków i zatracenia dzieli, h y m n K a s p r o w i c z a j e s t e p o p e j ą, c o c a ł ą n i e s k o ń c z o n o ś ć d r o g i t u ł a c z e j o b e j m u j e. W tym hymnie znalazła głęboki wyraz ta tak paradoksalna prawda życia religijnego: poczucie zbliżenia się ku treści najwyższej i tracenia jej znowu z oczu, poczynanie pielgrzymki od początku, gdy zda się dusza była już u kresu swej drogi. Dal drogi jest tu miarą tęsknoty i miarą nadziei zespolenia się z treścią najwyższą. Bezmierną dal drogi dążenia i beznadzieję próżnych usiłowań ducha ludzkiego, by dotrzeć do nieznanego Boga, zda się Kasprowicz na czas transponować, gdy mówi nam o tych „tęsknoty nieustannych wiekach“, gdy los ludzkości zda mu się zamierzchłą wieścią o rycerskiej wyprawie, a hymny tęsknoty ludzkiej prastaremi, zasłyszanemi „tak dawno, tak dawno, że miała zagasnąć czas owa szarpiąca wieść“. A gdy dusza w próżnych wysiłkach zwątpi w cel swej drogi, gdy jak Marya Egipcyanka w rozterce rozpaczy sama już nie wie, czy Chrystus ginie gdzieś przed nią w niedosięgłej dali, czy tylko „kiedyś przed zamierzchłemi wiekami“, wówczas droga pielgrzymki staje się, w bezcelowości swej, drogą wygnania. Stąd ten sam poeta, wieczny wędrowiec, był tak głębokim odtwórcą cierpień duszy wygnanej z raju.

Nie milknie ten motyw w późniejszej twórczości Kasprowicza, „gdy z hymnu zstąpił do prostej powieści“, tylko trady-

cyjne symbole zastąpiło słowo proste i bezpośrednie, patos przez opanowanie osiągnął ekspresyę bardziej dramatyczną, a z tej ciszy, która była skupieniem się we własnej głębi, wraz ze stłumionym słowem, rodziło się tchnienie skrytej, tajemnej grozy. Jedyny wyjątek pod tym względem stanowi zbiorek „O bohaterskim koniu i walącym się domu“. W nim znalazła wyraz największa rozterka i gorycz zwątpienia. Nie dąży wówczas duch: nie widzi drogi przed sobą; że sam przystanął, więc wyraźniej objawia mu się prawda mijania wszechrzeczy. Los ludzki już nie losem tułacza czy pielgrzyma mu się zdaje: kamień, co wśród głębokiej ciszy naraz obsunął się w przepaść i w proch się rozsypał — oto objawienie prawdy jedynej. Lecz i zwątpienie nie unicestwia życia religijnego, jak zdrada nie unicestwa miłości, choć ją zabija. I ściga ją za tę zdradę, którą jest zwątpienie, Cień-Chrystus [1]). Bezmierna tęsknota dążeń przemienia się w rozpaczne błogosławieństwo bohaterskim wyprawom na zatracenie. I gdy znów w „Balladzie o słoneczniku“ mamy widmo pochodu jak w „Święty Boże“, zamiast dawnej plastycznej wizyi upiorów, jakiś bardziej niepochwytny, głębiej grozą przejmujący majak, widziadło duchów. Zamiast hymnu niebosiężnego, któremu gorycz zamknęła usta, poszept wieści straszliwej:

„Ponoć to ludzkie rozpacze
Puściły krokom swym wodze
I spieszą w mgławych całunach
Na pogrzeb litości Bożej“.

Wędrówki duszy objawiają się wówczas poecie jako wieczyście powtarzająca się wyprawa życia ku śmierci, los ów straszliwy, w grozie swej niepojęty, podbój życia ku zagładzie wiodący:

„Ponoć i ja miałem braci,
Na straszną gdzieś poszli wojnę,
Śmierć rzekła mi o tem wszystkiem,
Całując spiekłe me usta...“

Jak już zaznaczyłem, w wielorakiej formie przeżywa Kasprowicz życie zbiorowe, życie ludzkości: To jest zwiastunem prawd

[1]) Poemat prozą Cień („O bohaterskim koniu i walącym się domu“).

nowych, noszącym boże orędzia, to sam na sam walki i rozhowory z Bogiem wiedzie. Raz głos własnego żywota do chóru innych głosów łączy, to, utożsamiwszy się z życiem zbiorowym, w sobie samym przeżywa cudze, ludzkie życie, to znowu ze zbiorowości się wyodrębnia, odchodząc w samotnię. Tym wielorakim formom odpowiada i wielorakość form symbolicznych tego samego motywu dążenia. Wędrówka na przemian staje się wspólnym pochodem, to jakby jego widziadłem, to zdradza się w poszepcie samotnego dążenia: „cicho się moja dusza po mgławych drogach wlecze". I tak w niezliczonych waryantach przewija się ten sam wątek, od opowieści o tym, iż poeta „jest jak wędrowiec, któremu się spieszy wyjść z ciemnych gąszczy, albowiem ostatni już gaśnie odblask ogni wieczornych" do skargi zmęczonej duszy, co na rozłogach życia przystając, szepce: „Mój Boże, mój Boże, zbyt długo ta droga się wlecze".

Sam fakt, iż motyw ten jest stałym przyśpiewem poczucia ciągłego wewnętrznego dążenia, że symbole z nim związane są jakby objektywizacyą i posłami tęsknoty poety, że wiąże się z motywami tej samej natury, to jużby wystarczało do zrozumienia jego charakteru mistycznego. Wraz z rozwojem twórczości poety zaznacza się ten charakter coraz wyraźniej, gdy łączy się i on i splata z innymi motywami coraz ściślej, jak np. z motywem obcowania z treścią najwyższą, którego najwymowniejszym wyrazem jest symbolika poszumów („Widmo Bożych tajemnic zmaga się w szumach z nami"). W wierszu „Drogi krzyżowe" łączy się motyw wyprawy z ideą męki i ofiary, bezrozumnego niby poświęcenia, które jest bohaterstwem świętych, ideą tak ściśle z religijno-etycznemi przeżyciami poety związaną. Mistyczno-religijny charakter tego motywu wyzwala się coraz bardziej z pozorów panteizmu i uwydatnia to się w zespoleniu z motywem walki między tęsknotą wzwyż ducha rwącą, a żalem miłosnym za ziemią. Zmagania się tęsknoty duszy wędrownicy z miłosnemi kajdanami ziemi najpiękniej może przed „Księgą ubogich" wyrażone zostały w tym wierszu:

„Gdy z pustej izby uchodzi w daleką
Przestrzeń ma dusza i broczy w czerwonem
Morzu promieni, które sennie cieką
W głębinę śmierci melodyjnym tonem

Tak ją przynęca ten wasz smętek mnogi,
Że choć ma Raj przed sobą, staje w pół swej drogi..,
Ciche, samotne rzędy wierzb nad rzeką".

Jak w życiu wogóle, tak i w życiu religijnym nietylko współistnieć, ale łączyć się może w jedność to, co ujęte w kategoryi myśli logicznej, zdałoby się paradoksalnym. Im bardziej zbliżamy się ku tajemnej sprawie życia religijnego Kasprowicza, tym głębiej wnikać musimy w te sprzeczności. Wraz z tym, jak coraz głębsze są tony tęsknoty ku ziemi, im zdaje się ona silniejszą, tym częściej, wyrywająca się w przestwór nieskończoności dusza, uczuwa obecność tego, ku czemu dąży. Pieśni pielgrzyma towarzyszy jakby echo głosu tęsknoty, — odzywa się ów tajny, w powiewie wiatru utajony, poszum wieczności. Jaśniej pojmuje dusza to, co dane jej było podświadomie, iż jedno jest tylko źródło tej tęsknoty, która duszę raz wędrownicą czyni, to znów wsłuchiwać się jej każe w szumy „z za niewidzialnych idące granic".

„Ludzie bez skutku odgadują męki
Twórczej, rozkoszną tajemnicę w szumy
Niebiańskich skrzydeł zaklętą, bez końca
Pchającą swych wybrańców do wiecznego słońca".

Z odzewu wieczności, na głos dążącej doń duszy, zda się rodzić poczucie obecności, jest to niby „westchnienie, którym On wielki miłosierny Pan w dal towarzyszy losom". Poczucie obecności jest jednym z najgłębszych i najwznioślejszych przejawów życia religijnego. Ten, czyja dusza obcuje z Bogiem, czuje Jego obecność przy sobie, jak czuje się w miłości najgłębszej nieustanną obecność istoty umiłowanej. Zmienny jest ten towarzysz, jak oblicze Boga, jak oblicze życia. Jest pożerającym cieniem, wierną przyjaciółką śmiercią, „która za nami włóczy się jak pies" lub tchnieniem Boga, które w jedność zlało się z najgłębszą treścią człowieka. Jest to wogóle objektywizacya istotnej treści życia: jest śmiercią, gdy się istotę życia jako grozę najwyższą pojmuje, a gdy zmieni się uczuciowy stosunek do życia, inną przyjmuje formę. Przejawia się w tej objektywizacyi stosunku uczuciowego do życia cała jego paradoksalność, stąd tak pozornie sprzeczne zestawienia, jak „druh mój śmierć", która umiłowanie nawet grozy

życia, zżycie się z jego najgłębszym tragizmem, tak prosto, tak bezpośrednio wyraża. Jak zaznaczyłem, wraz z rozwojem twórczości Kasprowicza coraz silniej splatają się ze sobą te motywy wędrówki, walki między dwiema tęsknotami i obecności czyjejś. Jak w tym oto, jednym z najpiękniejszych, jakie Kasprowicz napisał, wierszu pod tytułem: „Cicho za nami sunie cień żywota".

„Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...
... Towarzyszu miły,
Tak szliśmy sami, a jednak nie sami,
Szliśmy bezsilni, jednak pełni siły".

Też same motywy, jak to nam zresztą prolog zwiastuje, odnajdujemy w „Księdze Ubogich". Nie szukajmy źródła tej głębokiej ciszy, jaką tchnie ta księga-pamiętnik, w takim rozwiązaniu sprzeczności, które byłoby ostatecznym tak lub nie. Sprzeczności życia nic nie zmieni, tylko spojrzeć można na nie okiem głębi, co wszystko rozumie. Jak ów Bóg, co „na tronie swym siedząc, uśmiecha się pobłażliwie" — jest „wielkim miłosiernym Panem"; jak ów poszum, co raz jest Wielkim Wichrem Bytu, by stać się tylko „powiewem sierocym", tą skargą deptanych traw; jak owa trwoga, co „wraca z dalekiej Dziedziny, aby ci szepnąć do ucha prawdę o wielkim grobie" — jest tym samym, nierozstającym się nigdy druhem, cieniem, tak wszystko w tej książce może być sprzeczne: Ten, który znalazł tajemnicę, szuka jej znowu, ten, w czyjem sercu wieczysta zamieszkała zgoda — płomienny żar buntu na dnie ducha zachował. Tajemnica tej głębokiej zmiany w pojmowaniu drogi żywota leży w tym, iż co było dalekim — jest blizkim. Między tchnieniem nieskończonej dali z hymnu „Marya Egipcyanka" a prostemi słowy: „Śpieszmy do płotu naszych ogrodów droga niezamglona", leży przepaść tej zmiany.

Ten sam poeta, co pisał ów wiersz „w ludne wyrywam się kraje", tak teraz mówi o sobie:

„Tą samą chodzę drogą
Ścieżkami temi samemi
Lata mnie spędzić nie mogą
Z mej udeptanej ziemi.

Upór mój budzi zdumienie
Nawykłych do przemian oczu".

Dlaczego? Tu znowu, jak zawsze otchłań tajemnic tyczy krawędzi prostych jak sama codzienność. Zacznijmy od prawdy prostej: Taż sama dal życia młodości, znów kiedyś krótką ścieżyną zawodów się zdaje; toż samo życie, które zrazu tak wolno się toczy, naraz tak szybko z pod nóg się usuwać zaczyna, że zwalnia kroku, ten, co ongiś w dal nieprzejrzaną śpieszyć poczynał. Ta ogólnoludzka prawda nie tłómaczy nam jednak wszystkiego w tej zmianie, wniknąć musimy w psychologię mistyka. Życie mistyka jest dążeniem do zbliżenia się z Bogiem nieznanym, wnikaniem w to, co jest tajemnicą niedostępną. Poczucie zbliżenia się z treścią najistotniejszą życia, jest w rozwoju mistyka szczytowym momentem. Kto poczuł to zbliżenie — dla tego wszelka dal została przezwyciężona. Pocóżby jeszcze dusza miała szukać i błądzić w przestworzach, gdy to co jest przy niej, jest treścią świata, światem samym, gdy wie, że „w tym jednostajnym kole wieczność wraz z tobą kroczy" („Księga Ubogich"). A mieści w sobie ta głębia skupienia wszystko, jak toń jeziorna, co w wązkim swym kręgu cały bezmiar światów odbija. Jak są uczucia poszczególne, jak np. miłość, co dochodząc do szczytu potęgi, odrywając się niejako od całego podłoża naszego życia, nabierają znaczenia absolutu, który jest sam w sobie celem, tak są i szerokie stany wzniosłości, których gdy się już raz dosięgło — równają się wszelkie wartości, gdyż wobec ich wielkości maleją granice wszelkich innych rozróżnień. Ubogim jest człowiek, co prawdę najwyższą pojął — bo już niczego więcej nie żąda i wszystkiego się wyrzekł. Mądrym — i nie wiedzącym nic: „wiem słońce jutro wejdzie, jak dzisiaj, i znowu zagaśnie, czyliż wiedzy potrzeba mi więcej?" (Chwile). Niemasz już granicy między tak i nie, gdyż jedno i drugie jest prawdą.

Wszystko, co było różne i dalekie, jest jednym. I tylko „człowiek ubogi", niby ów filozof z książki „O bohaterskim koniu i walącym się domu", co wiedział, że „życie jest życie, a śmierć jest śmierć", pojąć tą prawdę zdołają. „Wszystko jest jedno, nic nie jest mogiłą", jak śpiewał kiedyś Staff w momencie istotnego natchnienia. Jak w toni jeziornej niknie cała dal nieba, choć się cała w niej mieści, tak przezwyciężone zostały wszystkie inne

prawdy tą jedną: „Jest Bóg i czegóż ci więcej“ — choć się wszystkie w niej mieszczą.

Niby w jasny dzień jesieni, gdy „droga do płotu naszych ogrodów niezamglona“, wszystko jest wyraziste i bliskie, więc tylko to, co ma kontury jędrne i proste, prawdę widzianą oddać jest zdolne. Nie trzeba już tajemnic i zawiłych symboli temu, w czyim wzroku jest ta wyrazistość jesieni — gdy dal jest bliska. Więc przemówił poeta słowem tak prostym, jak nigdy dotąd.

Wspomniałem na początku, że zasadniczym jest u Kasprowicza przeświadczenie o jedności wszystkiego. To co dawniej było przedmiotem wiary, jest dziś formą przeżywania wszystkiego. Im bardziej koncentruje się w swej głębi życie mistyka, tym bardziej zacieśnia się krąg kontemplacyi, tym bardziej wszystko staje się jehnością, wreszcie świat staje się punktem mistycznym. Głęboko trafnie rzekł S. Kierkegaard, że życie mistyka nie ma historyi, że „mistyk stoi w miejscu“. Stamtąd już tylko jeden krok jeszcze ku ostatecznemu zlaniu wszystkiego w jedność absolutną, ku uznaniu, że A jest A za prawdę najwyższą, tam, gdzie już jednoczy się śmierć i życie, świat i nicość jest wieczystą jednością, dusza sięga Nirwany. Tu u kresu tej drogi poczyna się najwyższa i tu jedynie nie złudnie istniejąca, śmiertelna rozkosz zatracenia się w nicości przez miłość. Historya tej najwznioślejszej z radości mieści się w przepięknym wierszu o bryłce śniegu, którą słońce

„Pochłaniać będzie do końca,
Aż się wypełnią jej dzieje,
Aż wszystka spragniona miłości
W uściskach jego stopnieje“.

Czyżby i poetę wciągać miała w swe tonie Nirwana? Nie, choć zna takie chwile. Nie w bryłce śniegu, lecz w tych stojących opodal „wieczystych graniach, co się w żarach słonecznych posępnie rozmiłowały“ ujrzał poeta swój obraz.

Kierkegaard ma słuszność... i nie ma słuszności: sąd jego dotyczy momentu tylko życia mistyka, w którym, tonący w Bogu, przestaje być człowiekiem, a staje się światem, wieczystą jednością czy nicością... albo znów poczyna swą wędrówkę ku Bogu od początku.

Kasprowicz jest jednym z tych nielicznych poetów, co krzepką tężyznę ziemi z najwyższym uduchowieniem zdołali połączyć. W tym jego wielkość, to go zbliża i krewnym czyni Mickiewiczowi. Ten, co z Bogiem rozmawia, ten, co zwie się sam tylko „wartownikiem u bram wieczności“, zrośnięty jest z ziemią, jakby mocą pierwotnego instynktu. Prócz mistrza, który ją wyrzekł, Kasprowicz jedynie pojął całą głębię tej prawdy: „Kto nie dotknął ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w niebie“.

Dlatego próżnobyśmy się smucili, mniemając, że „Księga Ubogich“, to ów szczyt, który jest kresem, że ta cisza, to spokój kontemplacyi, co w bezruchu zamiera. Raz jeszcze tu podkreślam: nie została przezwyciężona w tej księdze żadna z tych sprzeczności, co życie-walkę stanowią. One tylko zbliżyły się ku sobie w głębi skupienia.

Nie porzuci dusza ziemi... nawet dla Boga, bowiem miłość ją więzi:

„Ta wrona, co dla swych piskląt
Chleb nam ze stołu kradnie,
Potrzebę i rozkosz niewoli
Budzi w jej sercu na dnie“.

W przestwory nieskończoności uniósł ze sobą tylko ten zapach umiłowanej ziemi, a Boga tak ku ziemi zbliżył, że ów cień i śmierć — druhy dawne, zmieniły się w „wieczność, co w tym zaklętym kręgu wraz z tobą kroczy“. Nie przebrzmi motyw wędrówki — choć dal jest bliska:

„Rychło zapadnie krąg słońca
I oto idę w tej spiece
Nie spoczywając do końca.
Wiem, że te cuda zobaczę,
Cudem też będzie wytrwanie,
Gdy cieniem pogardzę i źródłem,
Gdy nie obejrzę się na nie“.

Że jest jak dąb, co im wyżej konarami sięga, tym głębiej wrastają jego korzenie, że jest jak toń jeziorna, co zarówno gwiazdy, jak cały bezmiar traw i najlichsze źdźbło w głębi swej kryje, więc żył najpełniejszym życiem.

A że odzew Boga jest jeno echem głosów tej ziemi, że treść jego zawisła od ducha tęsknoty, co, stając na grani skończoności, w bezmiar śle swe pytania, więc temu Bóg rzekł najwięcej, kto rozhowory z Nim wszystkiemi poszumy tej ziemi wzbogacił.

Niema więc nic w poecie z tej wiotkości i ruchu kontemplatorów-mistyków, tętno jego życia religijnego ożywia ta sama krew krzepka. Pamiętajmy, że jest to poeta, co w „Pieśni o Waligórze“, tym najpotężniejszym po Improwizacyi wybuchu prometeizmu, najwyższą ekstazę religijną huraganową mocą żywiołu przepoił. I dziś, choć osiągnął spokój najwyższy, nie spoczął:

„Już nie wadząc się z Bogiem
Mam jeszcze tę cichą nadzieję,
Że na dnie mego spokoju
Żar świętej wojny tleje“.

Jeżeli mimo wszystko wyczuwamy w „Księdze ubogich“ jakieś rozwiązanie powikłań i sprzeczności życia, to dokonało się ono tylko przez miłość. Zgoda ze światem i losem jest tylko głębokim zżyciem się z nim.

Pojednanie, zrównanie w tej zgodzie życia i śmierci, radości i męki, nie jest zaprzeczeniem czemuś, ani zwycięstwem jednego pierwiastka nad drugim, lecz przyjęciem, jakie bywa w miłości wszystkiego, jakim jest, dlatego tylko, że jest. Nic nie zamarło w duchu, choć taka cisza. Najwyższy spokój zrozumienia nie jest zapomnieniem, bo jest zarazem miłością, która najlepiej wszystko pamięta...

Nie kres więc, tylko spełnienie najwyższe ongiś (w Savitri) wypowiedzianego przez poetę życzenia:

„... Pragnę,
Iżby mój wieczór był jak potok górski,
Kamienie walący w przepaść...
Niechaj je wali z hukiem,
Gdyż jestem duch, który cierpiał,
Albo niech raczej, łamiąc swoje prawa,
Każe im zsunąć się w ciszy...“

Stefan Kołaczkowski.

Poglądy J. K. Kochanowskiego na postęp ludzkości.

(Na podstawie dzieła „Postęp ludzkości jako wyraz praw psychicznych rozwoju“ Warszawa-Lwów 1917, str. 298).

Niezwykła to na dzisiejsze czasy książka. Wyszła z pod pióra pierwszorzędnego uczonego, jednak tak mało między nią a współczesnym ruchem naukowym łączności, że można mieć poważne wątpliwości, czy można ją mimo całej zęwnętrznej faktury uważać za książkę naukową, czy sam autor za taką ją uważa.

Już po przeczytaniu pierwszych kart widać, że jest ona płodem myśli człowieka, który się dobrowolnie i świadomie odcina od świata jak pustelnik. Dalsza lektura potwierdza w zupełności to spostrzeżenie; autor jest samotnikiem naukowym, który mało dba o to, co myślą i myśleli inni w zakresie interesujących go zagadnień, który odwraca oczy i odsuwa się od ogólnego ruchu naukowego, jakby chciał przeprowadzić eksperyment, co może zdziałać na własną niejako rękę jego wielka inteligencya, jakby chciał przekonać się, czy jego własna myśl i własne, dowolnie ograniczone, doświadczenie mogą wystarczyć do zbudowania systemu rozwoju całej ludzkości. Jest rzeczą charakterystyczną, że autor prócz dawniejszych swoich prac i Pisma świętego Nowego

Testamentu cytuje tylko kilkanaście prac polskich i obcych autorów i kilkanaście artykułów dziennikarskich (w tem 6 artykułów z „Kuryera Warszawskiego"). Wspomnieć jeszcze należy, że autor używa za motta cytatów z Dantego, co zapewne ma wpływ i na pojmowanie przez niego swego zadania.

Eksperyment przedsięwzięty przez Kochanowskiego jest dla uczonego niewątpliwie pouczający, ale zgoła nie zachęcający do naśladownictwa. W ten sposób bowiem można osięgnąć oryginalność w pracy, i to niezawsze, ale sama oryginalność nie stanowi całej wartości pracy naukowej. Wartość pracy naukowej polega głównie na jej związku z dotychczasową nauką: albo uprząta ona zbyteczne i wadliwe części, albo dostarcza nowego materyału albo wreszcie buduje pewne nowe części wiedzy. Stosunek dzieła Kochanowskiego do nauki powszechnej jest tak luźny, że nie spełnia ona żadnego z tych trzech zadań pracy naukowej.

Przychodzi mi na myśl, że książka niniejsza może być rozpatrywana z innego punktu widzenia niż mój, mianowicie jako utwór literacki i jako utwór filozoficzny, dzięki swej pięknej formie i swemu nastrojowi mistycznemu, i sąd o niej może wypaść zgoła odmiennie od mojego. Na wszelki wypadek muszę się zastrzec, że przedmiotem mojego rozbioru jest j e d y n i e s t r o n a n a u k o w a „Postępu ludzkości"; nie przesądza to zgoła literackich i metafizycznych jego wartości.

Zagadnienie postępu ludzkości jest niewątpliwie najwyższym zagadnieniem wszystkich nauk o człowieku, a przedewszystkiem socyologii i historyi. Punktem wyjścia Kochanowskiego jest jego praca „Tłum i jego przywódcy". Napisana na podstawie obserwacyi bezpośredniej objawów rewolucyjnych w Warszawie 1904—6, jest ona doskonałem opisem i wyjaśnieniem tych zjawisk społecznych, t. j. tłumu i przywódców tłumu. Niestety nie każda dobra idea socyologiczna może się rozróść w potężne drzewo nauki o rozwoju ludzkości, jak owo ewangieliczne ziarnko gorczyczne. Dalsze rozwinięcie zawartej w tej pracy myśli w dwóch rozprawach, wydanych razem z nią pod tytułem „Echa prawieku", budzi już zastrzeżenia. Jeszcze liczniejsze zastrzeżenia musi obudzić niniejsza książka, stanowiąca dalszy krok w tym samym kierunku.

Historyozofia, względnie socyologia Kochanowskiego, przypomina niektóre dawniejsze spekulacye filozoficzne polskie i słowiańskie, których najbardziej charakterystyczną cechą jest, że dla

myśli, błąkającej się po bezkresach najogólniejszych i najwyższych zagadnień, głównym, jeżeli nie jedynym, przewodnikiem jest słowo. Nie rzeczy czyli zjawiska i ich stosunki, ale ich nazwy czyli terminy wybijają się na pierwszy plan i ściągają na siebie uwagę autora, który jakby się upajał pięknością i wielkością słów. Przytem zawiłość określeń i obfitość ich waryantów wywiera wpływ szkodliwy na trafność ujmowania rzeczy i jasność przedstawienia.

Gdyby ta książka opracowana została jako zbiór aforyzmów, byłaby niemniej interesującą a zapewne bardziej cenną; jako system naukowy nie przedstawia prawie żadnej wartości, brak jej jednolitej linii i spoistości o poglądach, wypowiadane twierdzenia nie zawsze zostały skontrolowane przez surową logikę i poparte mocnym materyałem faktycznym.

* * *

Nie łatwo streścić książkę, niezaopatrzoną w szczegółowy spis rzeczy, a napisaną stylem barokowym, pełnym przenośni i pleonazmów, posługującym się często okresami ciągnącymi się po kilkanaście wierszy. Wskutek tego nie może być mowy o czytaniu książki Kochanowskiego, trzeba ją mozolnie studyować, jak najciężej piszących autorów niemieckich.

Składa się ona z trzech części: 1) Człowiek, 2) Społeczność, 3) Postęp. Poprzedza je „Słowo wstępne“, następuje po nich „Zakończenie“.

W „Słowie wstępnem“ (str. 3—8) wyjaśnia Kochanowski stosunek obecnego dzieła do swych dawniejszych prac i do zagadnienia wogóle. Uważa on tu za cel swój: „określić to samo zagadnienie (t. j. sprawę stosunku psycho-społecznego jednostki do masy) skupiające w sobie treść istotną zjawisk życia zbiorowego w zastosowaniu do możliwego całokształtu tych pytań, jakie umysł nasz zwykł skierowywać ku człowiekowi jako cząstce ludzkości“ (s. 7). Jest to więc „próba ujęcia ogólnego opracowanych dotąd częściowo dociekań“ autora.

W części pierwszej („Człowiek“) zajmuje się Kochanowski na początku kwestyą istoty postępu. Przedewszystkiem wyrzuca on poza nawias swego zainteresowania i badania postęp techniczny, ekonomiczny i społeczny, dalej postęp polityczny i naukowy — jako powszechnie znane i oczywiste a ogranicza się do postępu w sferze ducha ludzkiego, a mianowicie do postępu w zakresie

uczuć, co do którego, uprzedzając niejako całą swą książkę z góry, podkreśla, że „musiał okupić wszystkie tamte objawy postępu“ (str. 11—12). Kochanowski twierdzi, że w całym postępie dotychczasowym duch ludzki udziału nie brał. Możemy więc i my uprzedzając dalszą krytykę powiedzieć, że nie można zacieśniać pojęcia ducha ludzkiego jedynie do uczuć, a nawet „miłości bliźniego“, jak to czyni Kochanowski w ślad za zacytowanym z L. Gumplowicza ustępem. Duch ludzki *rozwijał się*, bo się musiał rozwijać, aby dokonywać postępów na polu nauki i organizacyi życia zbiorowego. Z góry także musimy podkreślić, że Kochanowski w całej książce nie troszczy się pozytywnie o miłość bliźniego, o wykazywanie jej wzrostu a przynajmniej warunków, potrzebnych do jej wzrostu, że później Kochanowski zgoła w czem innem widzi postęp ducha ludzkiego.

Po przytoczeniu „potocznego określenia“ postępu: „doskonalenie się rozwoju“ (s. 11) i drugiego „konwencyonalnego“ określenia: „przechodzenie zjawisk z jednego stanu w drugi w toku niezbadanych kolei wszechrozwoju czy wszechruchu życia“ (s. 14) podaje Kochanowski na str. 16 swoją formułę postępu jedynie w następujący sposób:

a : a, = b : b,
b, = (a, . b) : a

przy czem **a** = stadne życie i stadny pogląd na zjawiska, **a,** = cechy wywołane w człowieku przez tę fazę życia, **b** = indywidualizacya, zaś **b,** = cechy wywołane w człowieku przez tę drugą, indywidualną, fazę życia. Ogromna szkoda, że autor nie wypowiedział słowami tej matematycznej formuły postępu, byłby się bowiem przekonał, że nie ma ona wartości pozytywnej [1]). Widocznie autor nie zdaje sobie sprawy, że formuła matematyczna jest tylko bardziej uproszczonym sposobem wyrażenia definicyi, którą wprzód i niezależnie od niej trzeba znaleść. Formuła ta mówi tylko, że jedynym postępem są cechy nabyte przez wyzwolenie się z życia stadnego czyli przez indywidualizacyę. Z niektórych obecnych i dawniejszych wywodów autora wynikałoby, że to zasadnicze przeobrażenie człowieka „stadnego“ w człowieka „indywidualnego“

---

[1]) Później kilkakrotnie jeszcze w innych kwestyach ucieka się autor do tego samego rodzaju formułek matematycznych, ale tak samo bez pożytku jakiegokolwiek.

dokonało się w bardzo odległych wiekach przedhistorycznego bytu. Z drugiej strony powiada on mimo to, że olbrzymia większość ludzkości należy dziś do stadnego typu, że więc przeobrażenie to dotyczyło tylko nielicznych jednostek. Na to należy zauważyć, że i najpierwotniejsze stada ludzkie miały i mają swoich przywódców czyli przerastające ogół jednostki, jak ich mają stada wielu gatunków zwierząt ssących, w rezultacie więc „indywidualizacya“ nie postępuje, nie ma nawet wcale postępu pod tym względem.

Powyższa formuła postępu ma zresztą według zdania Kochanowskiego wyrażać tylko „stronę zewnętrzną, psychomechaniczną postępu ludzkości. Poza nią kryje się głębia wewnętrzna psychiki ludzkiej, t. j. dusza, będąca formułą stosunku ludzi do nieskończoności czyli do Boga“ (s. 16). Jak widzimy, autor, lubujący się w definicyach, nie daje właściwie określenia tego postępu, o który mu chodzi. Z takiem, jak w powyższej formule, pojmowaniem postępu nie godzi się sam tytuł dzieła Kochanowskiego: „Postęp ludzkości jako wyraz praw psychicznych rozwoju“. Rozwój bowiem i dla Kochanowskiego obejmuje całą skalę zjawisk życia (s. 15) a nie tylko ducha ludzkiego, więc prawa psychiczne nie mogą się odnosić do całego rozwoju. Poprawna forma tytułu powinnaby chyba brzmieć: „Postęp ludzkości jako wyraz praw psychicznego rozwoju“. W książce zresztą jest omawiany szczegółowo tylko pewien wycinek rozwoju psychicznego ludzkości, ale nie cały rozwój psychiczny.

Właściwie jednak autor uważa i takie pojmowanie postępu za „anomalię w znaczeniu logicznem“ (s. 5), ponieważ według niego postęp ludzkości pojęty nie konwencyonalnie jest teleologiczny, celowy (s. 13) czyli jest zbliżaniem się do celu (s. 6). Nie jest to ścisłe, ponieważ, aby ludzkość postępowała, wystarczy, aby widziała przed sobą każdorazowy cel najbliższy a nie cel ostateczny, który ma na myśli Kochanowski. Na samym końcu książki podaje Kochanowski jeszcze jedną definicyę postępu: „Postęp to... proces psychiczny, oparty z jednej strony na coraz bardziej gruntownem pojmowaniu bytu, z drugiej zaś na zdolności coraz potężniejszej pozostawania sobą...“ (s. 278). Definicya ta jest dużo lepsza od poprzednich, ale zdaniem mojem daleka od tego, aby obejmowała całą rzeczywistość tego zjawiska.

W dalszym ciągu zajmuje się Kochanowski „człowiekiem pełnym“, składającym się z ducha i materyi (s. 19). Istotą wszelkich

zabiegów człowieka jest dążenie do nieśmiertelności (s. 23), której pojęcie u Kochanowskiego przypomina w znacznym stopniu przyrodniczą zasadę samozachowawczości. Łącznikiem między człowiekiem a wszystkiem, co nie jest nim samym, jest jakiś inny człowiek, względnie ludzie (s. 24). Człowiek chce i „musi posiadać pewną cząstkę wewnętrzną wyłącznie dla siebie a cząstka ta jest w nim zawiązkiem z Boga“. Boga wszechdoskonałość i wszechpotęgę harmonii, dobra i spokoju — tworzy sobie jednak człowiek, kiedy w cichem skupieniu oddaje się modlitwie kontemplacyi (s. 23—24). „Wszystko — bezwzględnie wszystko stwarza tam (t. j. w modlitwie kontemplacyi) człowiek z siebie i w sobie, jak sam najwyższy, bezkresny jego Bóg...“ Wtedy człowiek „wie, że jest nieśmiertelny, osiągnął cud najwznioślejszy obcowania z Bogiem, modlitwa stała się mu życiem, a życie modlitwą“ (s. 25). Dawniej ludzie osięgali tę dokonałość na puszczy, dziś tacy pełni ludzie zdarzają się i w zgiełku świata (s. 26). Sądząc z żywotów Świętych, tacy ludzie doskonali i w dawniejszych czasach zdarzali się w wirze życia. Na tych wyżynach ducha ma człowiek pełny „przenikliwy intellekt, mechanizm syntetyczny zmysłów“ (s. 29), ale uważa go za marność, a uczucie za jedyną ostoję (s. 30), to też ze współczucia dla bliźnich, borykających się z trudem istnienia, „własna jego istność stała się już troską o powszechne dobro“ (s. 32). Człowiek wogóle, nawet przeciętny „wyzwala się stopniowo przez uduchownienie z ciasnoty pierwotnego bytu... zakwita w szerszej skali istnienia. Na szczytach zaś swoich (duchowych) nie dostrzega już jej krańców (t. j. krańców skali istnienia)... Zawisa nad światem, jak oderwany odeń duch dobra i smutku“... (s. 37) „...metafizyką wszystko to być może i musi dla tych tylko, co nie wniknęli dostatecznie w infizykę (t. j. naturę) człowieka“ (s. 38).

Przytoczyliśmy tu myśl przewodnią Kochanowskiego, nie wdając się w jej krytykę szczegółową. Jak widzimy, chodzi mu o pewien nastrój duchowy, niezależny od kultury materyalnej i umysłowej, który zarówno jest dostępny analfabecie jak i najtęższej głowie naukowej. Taki jest jego ideał doskonałości człowieka, taki jest cel, do którego zmierza ludzkość, do którego dążyć powinien każdy człowiek. Mnie się wydaje, że tak pojęty człowiek uduchowniony, „duch dobra i smutku“, nie jest człowiekiem normalnym, zdolnym odczuwać bodaj czasami radość życia, nie jest

właściwie „człowiekiem pełnym“, bo człowiek pełny nie może uważać swego rozumu i zmysłu estetycznego za marność, on będzie się starał ciągle równomiernie doskonalić umysł i uczucia. Zdaje się, że i Kochanowski nie jest wierny temu ideałowi doskonałego człowieka, bo na str. 64 mówi: „Zupełna to illuzya, jakoby człowiek czcił istotnie w życiu cośkolwiek innego, niż syntezę sił, będącą ustosunkowaniem wyolbrzymionym czynników, tkwiących w nim samym“. „Zenitem czci ludzkiej może być tylko wyolbrzymienie pełni sił własnych człowieka“.

Zastanówmy się zresztą, jakby dziś wyglądała ludzkość, gdyby wszyscy ludzie byli uduchownieni. Uduchownienie to oderwanie umysłu od spraw materyalnych, to zaprzeczenie ciału i wszystkim sprawom jego. Wprawdzie były czasy, w których wyższa kultura znajdowała jedyny bezpieczny przytułek w klasztorach a głównymi, jeżeli nie jedynymi, twórcami i promotorami postępu byli zakonnicy, ale trzeba pamiętać, że ci zakonnicy byli wyjątkami, wyłamującymi się właśnie z pod właściwego kierunku uduchownionego życia klasztornego. Jak mało jest łączności między wszechstronnem życiem kulturalnem a uduchownieniem, świadczą zakony, istniejące w świecie chrześcijańskiem, muzułmańskiem i buddyjskiem, które z urzędu służą doskonaleniu ducha ludzkiego niemal dokładnie w tym samym kierunku, który Kochanowski ukazuje w swej książce.

* * *

Część druga („Społeczność“) zaczyna się od podkreślenia, że typ skupień ludzkich jest podziśdzień jednolity a istota ich stoi na poziomie stada, bo historya nie wykazuje żadnych zmian zasadniczych pod tym względem (s. 41—42), mimo że po fazie żywiołu nastąpił okres organizacyi i harmonii bytu (s. 53—54). „Jednostka powstaje jako kwiat z ducha na bagnisku amoralnem gromady...“ (s. 44), ale bez takiej gromady, jaka obecnie istnieje, musiałaby jednostka „zginąć, albo uledz przemianom niepojętym“ (s. 43). O konieczności istnienia mas gromadowców dla istnienia jednostek mówi jeszcze Kochanowski na str. 212. Wynika z tego, że podniesienie każdego człowieka do godności jednostki, a tembardziej udoskonalenie duchowe jest niepożądane i niemożliwe. Jest to sprzeczne z wyrażonem wyżej przekonaniem, że każdy człowiek, nawet przeciętny, może się doskonalić duchowo.

Gromady, zorganizowane w państwa i narody, muszą w obronie swych potrzeb i interesów prowadzić politykę niemoralną. „Oto, w polityce, jak dotąd, hasła sprawiedliwości, czy inne, najświętsze nawet w poczuciu jednostek dążenia, mają i mieć mogą jedynie charakter demagogiczny“ (s. 47). Gdyby to było prawdą, to nie byłoby racyi już obecnie sądzić, że „po przez umiłowanie materyi i stopniowy nią przesyt dąży rozwój dziejowy człowieka ku duchowi“ (s. 49), bo wszak państwa i narody są formą konieczną, nawet przyszłość kultury zależy od mnożenia liczby narodów (s. 140—141).

Rozwój społeczeństw polega według Kochanowskiego na wzajemnem oddziaływaniu dwóch czynników zasadniczych: siły i słabości. Tym czynnikom fizycznym odpowiadają typy psychiczne: indywidualistów i gromadowców, których postaciami historycznymi są panowie i niewolnicy a społecznymi arystokracya (hierarchia) i demokracya (równość) (s. 54—55, 126—130).

Zarówno cała ludzkość, jak każda społeczność ludzka mogą być porównane pod względem budowy z kryształem kształtu piramidy. Wierzchołek tej piramidy zajmuje siła (indywidualiści) a podstawę słabość (gromadowcy). Instytucya własności dziedzicznej powoduje mieszaninę różnorodnych typów na każdym szczeblu tej piramidy (s. 55). Osią historyi jest walka sił indywidualnych z siłą skupień zbiorowych (s. 56). „To też możliwie ścisła analiza psychologiczna tych zjawisk oraz ich wzajemnego stosunku do siebie stanowi jądro niezbadane zagadnienia dziejów a wraz z nim „postępu“ ludzkości“ (s. 56). Przeciwstawia tu Kochanowski siłę jednostki słabości gromadowców, ale potem konstatuje, że ta słabość jest tylko mniejszą siłą i że te mniejsze siły skupione razem stanowią potężną przeciwwagę jednostek a nawet dzieje ludzkości, to zmiana kolejna przewagi gromad (równości) i jednostek (nierówności) (s. 99).

Pogląd ten na budowę i historyę społeczeństw i ludzkości jest zasadniczo zgoła nie nowy, forma zaś szczegółowa, którą mu nadał Kochanowski, nie jest konsekwentnie ani systematycznie przeprowadzona, a co gorsza, staje w jaskrawem przeciwieństwie do poglądu wypowiedzianego w pierwszej części.

Tam treścią postępu było dążenie do uduchownienia, do doskonałości moralnej jednostek, tutaj i w dalszym ciągu książki jest

mowa o siłach indywidualnych i zbiorowych i ich walce z sobą jako treści rozwoju ludzkości. Losy tej walki są zmienne (kolejno jedna strona bierze górę nad drugą) a jej wyniki częściowe czy ogólny rezultat dotychczasowy bez wpływu na przebieg udoskonalenia moralnego jednostek i na liczbę tych udoskonalonych jednostek. Co więcej, sam Kochanowski rezygnuje ze swego założenia, powiadając: „Nie jest też zadaniem naszem prawić tu o piramidzie duchowej człowieczeństwa, o uszczeblowaniu wartości moralnych w jednostkach i masach, żyjących i minionych“ (s. 69).

Zapomniał Kochanowski o tem, że indywidualiści-panowie posługują się do walki z gromadami swoimi niewolnikami czy poddanymi sobie gromadowcami i na odwrót gromady występują do walki pod wodzą wybitnych jednostek. Zawsze walczą więc wybitne jednostki przy pomocy mas, zachodzi tylko ta różnica, że jednostki pierwszego typu walczą głównie we własnym interesie, gdy jednostki drugiego typu walczą głównie w interesie masy. Wynika stąd fatalna konsekwencya dla jego poglądów. Owe jednostki, jedynie zdolne jego zdaniem do udoskonalenia moralnego, muszą działać w myśl amoralnych potrzeb gromad, muszą więc wyznawać i uprawiać podwójną moralność: szczytną moralność jednostkową i nizką moralność gromadową. W każdym razie walka solidaryzuje jednostki wybitne z gromadami i sprowadza je na równy z nimi poziom moralny. Łatwo także zauważyć, że prawdziwe uduchownienie jest najczęściej, jeżeli nie wyłącznie, udziałem jednostek, które nie przewodzą gromadowcom, które nie dobijają się o dostanie się na szczyt piramidy społecznej; doskonale to wyraża Kochanowski, mówiąc o „typach wysoko uduchownionych królów, marzących o pługu (t. j. pragnących się wycofać ze swego szczytowego stanowiska) i oraczów, pogardzających koroną“ (t. j. nie pożądających dostania się na szczyt).

*
* *

W dalszym ciągu książki chodzi Kochanowskiemu nie o treść, ale o formę rozwoju ludzkości i to o formę, „w której natura sama kształci wszelaką zbiorowość ludzką poprzez wieki dziejów i pokoleń“ (s. 70). Jest to najwyraźniejsze porzucenie pierwotnego stanowiska wyłącznie psychicznego a nawet moralnego, bo prze-

cież naturalna ta forma, to nie tyle piramida duchów, ile piramida sił, ciał i stosunków materyalnych.

Budowa owej piramidy ludzkości przedstawia się czytelnikowi bardzo mglisto. Jedynym „objektywnym sprawdzianem, któryby każdej grupie i należącej do niej jednostce potrafił wskazać w układzie ogólnym miejsce odpowiadające jej istotnie“... „jest ich własne poczucie tajemne ideału, do którego zmierzają w życiu oraz współzawodnictwo, równie tajemne, w stosunku do tych, którzy ideał ów osiągnęli w przekonaniu wewnętrznem obserwatorów“ (s. 88). Jest to jedno z najważniejszych (może nawet najważniejsze według autora, bo kursywą przezeń wyszczególnione) zdanie, niestety nie podobna go zrozumieć w zupełności. O ile go jednak zrozumieć można, to wskazuje ono, jak względna i ciągle zmienna musi być owa piramida, zależna od 1) subjektywnego poczucia samych grup i jednostek, od 2) tajemnego (niewiadomo dla kogo?) ideału życiowego, 3) od tajemnego współzawodnictwa oraz 4) od subjektywnego przekonania obserwatorów. Jak tu wśród tych podwójnych subjektywizmów i podwójnych tajemniczości odkryć miarę i przeprowadzić uwarstwienie w obrębie piramidy. To też Kochanowski mówi ciągle tylko o szczytach i podstawie piramidy i nie zadaje sobie trudu wypełnienia całej jej pojemności. Ale nawet co do szczytów nie znajdujemy odpowiedzi, czy najwyżej stoją naczelnicy państw, czy naczelnicy kościołów, czy geniusze-twórcy, czy wreszcie uduchownieni mędrcy życiowi (święci). Dowiadujemy się później, że szczyty społeczne stanowią „indywidualiści praktyczni“, potentaci życia w swej postaci historyczno-społecznej arystokratów, panów.

Teoretycznie nie jest Kochanowski zdecydowany, co jest zasadą krystalizacyjną piramidy: czy zalety duchowe, czy przywileje na sile oparte, skoro powiada: „Piramida ludzkości, zwężająca się od podstaw ku górze, zakończonej szczytem zalet, czy ewentualnie: przywilejów indywidualnych, jest naturalnym kształtem rozwoju — *vagina perfectionis humanae*“ (s. 225). Do tego nie wiemy, jakie zalety posiadają wyższą kwalifikacyę u Kochanowskiego, czy rozumowe czy uczuciowe; nie wiadomo, kogoby wyżej postawił: św. Franciszka czy Kopernika.

Co znaczy powyższa alternatywa: zaleta czy przywilej, najlepiej się uwydatni, jeżeli będziemy musieli decydować, kogo wy-

żej postawić: Mickiewicza czy króla Augusta II., Dantego czy którego z następców Dżyngishana.

Na ogół jednak przez ową piramidę ludzkości rozumie autor całkiem zwyczajną, powiedziećby można banalną, hierarchię społeczną, zwłaszcza taką, jaka istniała od wczesnych średnich wieków aż do końca *ancien regime*'u. Praktycznie i realnie rzecz biorąc, na szczycie piramidy ludzkości umieszcza Kochanowski całą warstwę arystokratyczną, do której otwierają dostęp zalety, ale w której utrzymuje nadal przywilej. Oczywiście ów szczyt jest dosyć płaski i gruby wobec liczebności i małości duchowej arystokracyi, widzi to sam Kochanowski i nie mało się tem martwi. Przeważną część książki poświęca on obronie jej wartości i praw wobec mas gromadowców i ogłasza ją właściwą twórczynią kultury i za najwszechstronniejszą konsumentkę jej wytworów. Kiedy jednak chodzi o pozytywną odpowiedź na pytanie: „Gdzie biją źródła dziejowe... cywilizacyi naszej?“, wyraża się bardzo oględnie, że w warstwach indywidualistów a nie gromadowców a do typu indywidualisty zbliża się bardziej pan niż sługa (s. 117). Nam z tej oględnej odpowiedzi łatwo się domyślić, że i dla Kochanowskiego nie arystokracya, ale inni indywidualiści są tej kultury twórcami. Wiemy skądinnąd, że arystokracya nie jest i nie była nigdy masowym konsumentem kultury naukowej, że sztuka gotycka nie dla arystokracyi i nie z jej inicyatywy powstała.

Niepodobna wszystkiego prawie, co Kochanowski mówi dla uzasadnienia i obrony arystokratycznego ustroju, zwalczać, trzebaby bowiem na to conajmniej tyle miejsca poświęcić, co on użył. Wystarczy przytoczyć kilka bardziej jaskrawych przykładów.

* * *

Psychologiczną podstawą hierarchii jest według Kochanowskiego zachwyt i wywoływane przezeń współzawodnictwo, względnie naśladownictwo (s. 214—225). Kto jest przedmiotem zachwytu czyli ideałem czyimś, ten stoi wyżej od niego w piramidzie ludzkiej; kto się zachwyca i usiłuje wznieść się tak wysoko, jak przedmiot jego zachwytu, ten stoi niżej. Zachwyt w sferze materyi staje się zazdrością, która stara się obniżyć, zniwelować tych, przeciw którym się kieruje. Zachwyt i zazdrość nie zupełnie trafnie są

tu pojęte. Zachwycamy się bowiem nietylko ludźmi, ale i przyrodą. Nawet i zachwycanie się ludźmi często nie wiedzie nas aż do współzawodniczenia z nimi lub ich naśladowania (zachwyt artystami). Im człowiek duchowo wyżej rozwinięty, tem bardziej zdolny do zachwytu, ale jego zachwyt najczęściej nie kieruje się do arystokracyi, zwłaszcza jeżeli ją choć trochę zna. Dalej trzeba zwrócić uwagę, że zachwycamy się nie tylko współczesnymi ludźmi, ale i należącymi do odległych epok i grup etnicznych i to tem częściej, im bardziej jest pogłębiona nasza kultura historyczna, ale takiego zachwytu nie można uważać za uzasadnienie współczesnej hierarchii naszego społeczeństwa. Co do zazdrości, to trzeba zauważyć, że nie odnosi się ona wyłącznie do sfery spraw materyalnych. Wiemy z żywotów Świętych, że w życiu klasztornem współzawodnictwo w doskonaleniu się duchowem doprowadza niekiedy do wybuchów zazdrości i nienawiści. Tak samo w życiu artystów wszelkiego rodzaju bardzo często zazdrość nie wyrasta z podłoża materyalnego, ale z motywów idealnych i to tak czystych, jak tylko czystymi być mogą.

Swoboda wyboru przedmiotu naszego zachwytu i subjektywność oceny naszej rangi w piramidzie powinnaby wykluczać istnienie jakiejkolwiek ustalonej hierarchii według Kochanowskiego [1]). Następnie rozważanie istoty ścisłej hierarchii, takiej jak np. feudalna lub zwłaszcza katolicka kościelna, powinnoby mu wskazać, że w hierarchii wszyscy, prócz najniższych i najwyższych, są panami i sługami równocześnie, że arystokracya feudalna pozostaje w stosunku służebnym do monarchy, że więc ma ona wszelkie cechy gromadowców, podobnie jak kler wobec papieża ma najbardziej jaskrawo uwydatniające się cechy gromadowców. Następnie rozważenie odwiecznej hierarchii katolickiej i nowoczesnej wojskowej hierarchii powinnoby mu wskazać, że hierarchia nie potrzebuje do swego istnienia podstaw rodowych i tradycyjnych, że wyższe i najwyższe stopnie w tych hierarchiach daje stale dzielność osobista albo łaska wpływowych ludzi lub wreszcie szczęście.

Kochanowski uważa za pewne, że wewnętrzny układ piramidy społecznego ustroju ludzkości, jako naturalnej i w psychice ludzkiej uzasadnionej formy zasadniczej, nie może ulegać nigdy prze-

---

[1]) Co więcej, pogląd J. K. Kochanowskiego prowadzi wprost do anarchizmu, co właśnie zarzuca on idei demokratycznej (s. 127).

mianom; jeżeli nawet dokonuje się przewrót demokratyczny, jest to tylko złudzeniem gromadowców (s. 224—5). Ideałem każdej jednostki (nietylko indywidualisty) jest zostać w swoim środowisku arystokratą (s. 226); jest to wyrazem zasadniczym i nieubłaganym praw rozwoju (s. 227). „Przeskoki (jednak) są tu i trudne i anormalne i wyjątkowe. Stopniowość jest bowiem przyrodzoną zasadą rozwoju“ (s. 226) [1]). Wynikałoby więc z tego, że Kochanowski przyjmuje możność awansu w piramidzie społecznej. Jednakże kilkanaście stronic dalej już się mu te sprawy inaczej przedstawiają: „Ponieważ... ludzie z nizin kroczyć zwykli najprzeważniej na wyżyny życia, jeżeli nie przez zło wyraźne to przez graniczące z niem kompromisy swoje ze sumieniem, trzeba dojść do wniosku, że sam ideał moralny domaga się istnienia „pana z panów“; typu społecznego, którąby bez potrzeby sięgania *per nefas* wyżej, niż go postawiły losy, mógł pełnić rolę możliwie doskonałego wzoru człowieczeństwa dla innych“ (s. 245—6). Podkreślenia pochodzą od autora. Ponieważ przodkowie tych „panów z panów“ najprawdopodobniej także *per nefas* wznieśli się na wyżyny życia, bo wszakże rody nie są wieczne i każdy ród arystokratyczny wybił się z pomiędzy niższych warstw, w czasach historycznych i to najczęściej bardzo bliskich, o czem wie Kochanowski jako historyk, wynika więc z tego, że dziedziczenia zdobytego *per nefas* stanowiska wymaga ideał moralny. Takie przyjmowanie niemoralnych początków istniejącej obecnie arystokracyi powinno ją raczej obniżać w oczach autora zamiast ją uświęcać. Nie wiem, dlaczego zresztą przypuszczać mamy tylko niemoralne sposoby wznoszenia się w hierarchii społecznej? Powszednia obserwacya życia i historya powinnyby wskazać autorowi, że jednak znaczna część ludzi wybijających się na wyżyny społeczne robi to i robiła drogami uczciwymi.

* * *

---

[1]) Ten sam pogląd powtarza jeszcze autor na str. 265; „Prawo rozwoju dyktuje porządek inny: stopniowy pochód wszystkich ku wyżynom“. Być może jednak, że ma tu autor na myśli równoczesne i równomierne wznoszenie się wszystkich to jest przy zachowaniu dotychczasowego stopniowania w piramidzie ludzkiej.

Kochanowski idzie tak daleko w czci i uwielbieniu dla arystokratyzmu, iż twierdzi, że prawdziwa kulturalność jest tylko dziedziczna i jest udziałem środowisk arystokratycznych (s. 265). „Wysoka kultura istotna tj. dziedziczna, nabyta może być w ramach odpowiedniej liczby pokoleń albo — jeszcze wyjątkowo — w ramach genialności (s. 266). Nie wiemy, jak Kochanowski pojmuje gienialność ani kulturalność, ale wiadomo powszechnie, że wielu gienialnych specyalistów wykazało względnie wykazuje poważne braki pod względem kulturalnym, wiele gałęzi kultury jest im zupełnie obcych lub zgoła ich nie cenią. Wymaganie aż gieniuszu do przyswojenia sobie kultury jest potworną wprost przesadą, jest stosowaniem zupełnie odmiennych miar i przyznawaniem wyrazom zupełnie odmiennego znaczenia niż go dotychczas miały.Takie samo robi wrażenie zdanie wypowiedziane w związku z tą sprawą kulturalności prawdziwej: „Czyż nie dość jeszcze przepełniających dobę naszą dowodów tego, jak straszne są i być muszą skutki życiowe i kulturalne fikcyi równości ludzi, przeczącej naturze?!“

Ocena historycznej i społecznej roli arystokracyi i demokracyi składa się przeważnie z takich orzeczeń jednostronnych, przesadnych lub wręcz mylnych a zawsze nadzwyczaj jaskrawych. Czytając te ustępy ma się wrażenie, że autor pod wpływem nienawiści do demokracyi i uwielbienia dla arystokracyi stracił zdolność objektywnego sądu. Demokracya, gromadowcy, to ignoranci, warchoły, megolomany (s. 131), obecna epoka demokratyzacyi, to bunt, (s. 131). to anarchia (s. 132), to wyzwolenie w przeciętnym człowieku zwierzęcia ludzkiego w jego bezgranicznem dążeniu do użycia (s. 128). Demokracya sprowadziła na świat imperyalizm i demagogię monarchów (s. 136), którzy z nosa do tabakiery stali się teraz tabakierą do nosa, tj, dawniej gnębili ludność, nakładając na nią ciężary dla siebie, swej konieczności czy fantazyi, a teraz gnębią ludność w imię, jakoby, własnych jej potrzeb (s. 137). Protestem przeciw demokratyzmowi jest nacyonalizm licznych narodów (s. 139). Zagrożone w swym bycie przez kult wszechludzkości ludy bronią patryotycznie przyrodzonych swych ideałów (s. 142). Że imperyalizm rodzi się ze współczesnej demokracyi dowodem ma być „nieznane ustrojom arystokratycznym świadome i planowe dążenie do wynarodowienia plemion, ludów i narodów pokonanych, przez zwycięskie“ (s. 149).

Nie wiem, dlaczego Kochanowski mówi tylko o demokracyi kosmopolitycznej w czasie, kiedy nawet kosmopolityczna socyalna demokracya wszędzie barwy narodowe przybrała. Czyżby nie znał prądów demokratycznych włoskich, polskich, czeskich i u wszystkich zresztą narodów europejskich, prądów nawskróś narodowych? Czyż patryotyzm Garibaldiego, Mazziniego, Mickiewicza, Lelewela, Palacky'ego wydaje mu się podejrzany? Dlaczego Kochanowski nie dojrzał w arystokracyi cech kosmopolitycznych, które się może bardziej rzucają w oczy, niż u demokracyi? Wszak to jest rzeczą ustaloną i przez nikogo dotąd nie kwestyonowaną, że zasada narodowości wzrosła i rozwój po większej części zawdzięcza właśnie prądom demokratycznym, że wieki nowożytne aż do demokratycznego wieku XIX-go miały bardzo słabe zrozumienie dla idei narodowej. Państwo absolutne na hierachii społecznej oparte było wprost wrogie tej idei stawiając na pierwszem miejscu ideę państwa i interes dynastyi.

Nie inaczej się ma sprawa z imperyalizmem i wynaradawianiem. Doprawdy trzeba zupełnie nie liczyć się z historyą, aby nie wiedzieć, że systematyczną politykę wynaradawiania prowadzili Rzymianie w starożytności, że Niemcy jeszcze systematyczniej prowadzili ją na całym pasie granicznym od Adryatyku do Bałtyku. Wiadomo dobrze, ile było planowej roboty w tym kierunku nad Dunajem, nad Łabą i Odrą, u ujść Wisły i Niemna, jakie świetne były rezultaty germanizatorskie ze skombinowanego tępienia, nawracania i kolonizowania kraju rycerstwem, duchowieństwem, mieszczaństwem i chłopstwem. Współcześnie i przez kilka wieków później uprawiali tosamo Hiszpanie wobec ludności arabskiej i żydowskiej. W XVII wieku jeszcze Anglia spróbowała wynarodowić Irlandyę i to ze skutkiem nie mniejszym, niż najlepsze tego rodzaju przedsięwzięcia za dni naszych. Imperyalizm, politykę zaborczą w wielkim stylu, uprawiali już królowie frankońscy a zwłaszcza Karol Wielki, potem doskonałymi imperyalistami królowie niemieccy z dynastyi saskiej i dynastyi Hohenstaufów. Nie złym imperyalistą był nasz Bolesław Chrobry i niektórzy Rurykowicze, potem najbardziej typowymi przedstawicielami imperyalizmu byli Habsburgowie. Nim na tle wielkiej rewolucyi zabłysnął Napoleon, egzamin z przejęcia się ideą imperyalizmu złożył Ludwik XIV i państwo angielskie. W naszych czasach polityka imperyalistyczna

została tylko spopularyzowana, ponieważ ludność przez parlamentaryzm wpływ na rząd uzyskała.

A teraz pytanie: arystokracya czy demokracya jest bardziej konserwatywna? Według tezy Kochanowskiego gromadzkość jest zasadniczo konserwatywna (str. 224), co nie jest prawdą, jeżeli chodzi o wszystkie przejawy gromadzkości, bo nie trudno wskazać wielkie organizacye, które przeważnie okazywały tendencye postępowe; o ile chodzi o formę społeczną, to ona jest konserwatywna jak i indywidualizm jako forma jest konserwatywny tj. chce trwać w nieskończoność.

W teoryi i praktyce życia politycznego i społecznego wogóle, jak wiadomo powszechnie, arystokracya jest wszędzie i zawsze konserwatywna, ponieważ broni swego stanu posiadania i chce się koniecznie utrzymać na swem korzystnem stanowisku przeciw napierającym z dołu elementom. W narodach, dobijających się wolności, arystokracya również najmniej zapału i siły rewolucyjnej wykazuje. Postępu technicznego arystokracya nie tworzy, ale chętnie korzysta z niego, zwłaszcza o ile chodzi o konsumcyę, bo w swych przedsiębiorstwach produkcyjnych go stosuje, zwykle ze znacznem opóźnieniem, gdy już jest wszechstronnie wypróbowany. Arystokracya daje w bardzo ograniczonej mierze inicyatywę do postępu, nawet w zakresie przedmiotów zbytku w daleko większym stopniu wychodzi ona od producentów-przemysłowców niż konsumentów tj. przedewszystkiem arystokracyi. Tembardziej nie może być mowy o jej inicyatywie do postępu w zakresie sztuki. Kochanowski niczem nie może usprawiedliwić zdania, że „świat przebywa okres spożywania przez masy ludzkie dorobku panów“ (s. 267).

Wogóle Kochanowski zapomniał spojrzeć na arystokracyę jako na klasę społeczną, mało liczną coprawda, ale niemniej posiadającą wszelkie cechy klasy społecznej, Z tego punktu widzenia arystokracya traci cały nimb, którym ją Kochanowski otacza, jest takąsamą gromadą ludzką, jak inne gromady, ma takiesame pierwotne instykty stadne, ulega taksamo kierownictwu wybitniejszych z pośród siebie jednostek, jak wszelkie zbiorowiska ludzkie.

Gdyby Kochanowski znał dzisiejszą teoryę dziedziczności (Mendelizm) i zdał sobie sprawę z tego, jak dotychczas nie ma jeszcze zgoła mowy o hodowli człowieka (eugenika), toby chyba nie uważał arystokracyi za biologicznie predestynowaną do roli przewodniczej w ludzkości, toby chyba dojrzał, że cechy moralne

i umysłowe, które dały możność przodkom dzisiejszej arystokracyi zająć naczelne w swych społeczeństwach role, występują równie obficie w innych warstwach. Gdyby nie przepisy prawne a zwłaszcza przepisy w dziedziczeniu, toby zapewne dziewięć dziesiątych części ludzi, należących do arystokracyi, należało do szarego tłumu, do owej masy gromadowców, tak pogardliwie traktowanych przez Kochanowskiego. Jedynie systematyczna hodowla arystokratów i masy ludowej, pierwszych na panów, drugiej na biernych niewolników, po wielu tysiącach lat mogłaby może usprawiedliwić takie teoretycznie ujęcie stosunku arystokracyi do reszty społeczeństwa, jakie daje Kochanowski, obecnie jest to tylko fantazya.

Wszystko, co mówi Kochanowski o kulturze amerykańskiej, o jej materyalizmie bezwzględnym, jest zupełnie zdawkowe i świadczy, że nie ma o tej kulturze pojęcia. Kulturze owej bowiem, będącej wytworem głęboko religijnych sekciarzy protestanckich, którzy w wysokim stopniu posiadają ten nastrój duchowy, o którym Kochanowski mówi w pierwszej części swej książki, nie brak idealizmu, patryotyzmu i miłości bliźniego. Również grzeszy Kochanowski grubą nieświadomością, wydając ujemny sąd o kulturze „schłopiałych“ Szwajcarów i Norwegów (s. 242), rzekomo pozbawionej zupełnie oryginalności. Po pierwsze oba te narody nie schłopiały w czasach historycznych, ale zawsze, odkąd je znamy, miały demokratyczny ustrój społeczny, zwłaszcza Norwegowie, którzy w epoce wikingskiej byli takim samem chłopskiem społeczeństwem, jak są obecnie. Kultura zaś obu tych narodów jest i prawdziwie twórczą i oryginalną, mimo ich małej liczebności (Szwajcarów było w 1910 r. 3,200.000, Norwegów 2,360.000), i tak wiele znaczy w ogólnej kulturze europejskiej, że ja osobiście byłbym dumny i szczęśliwy, gdyby nasz naród zdobył się na tak wielką twórczość kulturalną w stosunku do swej liczebności, jaką wykazują oba te drobne narody chłopskie.

* * *

Niemniej dziwaczne i sprzeczne z faktycznymi stosunkami poglądy wypowiada Kochanowski na temat obecnej kultury europejskiej. Niewątpliwie nastręcza ona ogromnie wiele sposobności do krytyki, i to krytyki bardzo surowej, często się też z taką krytyką spotkać można, ale stosunkowo rzadko idzie ona

w tym kierunku, aby obecną naszą kulturę stawiać niżej od dawniejszych stadyów kulturalnych, jak to robi Kochanowski w trzeciej części swej książki.

Dzisiaj zanikły zupełnie: poczucie obowiązku i wdzięczności, które dawniej powszechnie były spełniane. Dopiero obecna wojna może się stać dla Europy szkołą obowiązku *usque ad finem*. "I czas po temu wielki, albowiem w siłę moralną — w uczciwość bezwzględną, która ongi tak licznych miewała przedstawicieli, przestaliśmy już wierzyć..." (s. 163—166, s. 175). Gdyby się Kochanowski przypatrzył wojnie nieco bliżej, toby się przekonał, że wyrabia ona w ludziach przez nadmierne swe wymagania właśnie coś wręcz przeciwnego niż to, czego się on po niej spodziewa. Gdyby Kochanowski czytał traktaty polityczno-moralne, satyry i komedye, jakie w Europie od starożytności pisano na temat obowiązkowości, wdzięczności, uczciwości i t. d., toby zauważył dziwną ich zgodność z własnymi poglądami. Niemal wszystkie one nie widzą tych cnót u współczesnych, tylko w dawniejszych czasach. To stałe *laudatio temporis acti* jest tylko przedłużeniem i rozszerzeniem legendy o raju i o złotym wieku, po którym przyszły nasze złe czasy. Kochanowskiego krytyka dzisiejszej kultury europejskiej tyle jest warta, co owe biadania pań na obecny brak dobrej służby domowej, które jest tak dawne, jak instytucya służby domowej.

Kochanowski mówi o „ujednostajnionej aż do martwej bezmyślności modzie" naszych czasów (s. 107), a przecież tak trudno spotkać dwie kobiety jednakowo ubrane, gdy przeciwnie ten strój, który się staje strojem ceremonialnym, więc nie ulegającym modzie jak frak, kontusz, krakowski strój ludowy, stracił zdolność rozwojową i ujednostajnił się niemal na kształt munduru. Występuje dalej Kochanowski przeciw porzucaniu strojów ludowych (s. 168), dziwne tylko, dlaczego nie wyrzuca innym stanom zmiany ubrań od czasów średniowiecznych lat, bodaj od czasów Ludwików.

Urąganie na masową jednostajność produkcyi przemysłowej dzisiejszej i na niesumienną tandetę wszelaką (s. 171), którym przeciwstawia Kochanowski dawniejszą produkcyę artystyczną i rzemieślniczą, również nie jest w całości uzasadnione. Obfitość i taniość dzisiejszej produkcyi przemysłowej musi być czemś okupiona, skoro umożliwia bezporównania wszechwstronniejsze i lepsze zaspokojenie potrzeb jednostce, a zwłaszcza zaspokojenie potrzeb

szerszym rzeszom ludzkim. Dawniej wyroby rzemieślnicze były ładniejsze, ale droższe, to też dostępne były tylko zamożniejszym i to w niewielkim wyborze, gdy masy musiały się obchodzić bez tych wyrobów albo posługiwać się najprymitywniejszymi wyrobami domowymi. Dla tych, co potrzebują artystycznych wyrobów, istnieje obecnie przemysł artystyczny i luksusowy, spełniający to zadanie na ogół daleko lepiej, niż dawne rzemiosło. Mnie się wydaje, że ważniejsze jest zaspokojenie potrzeb ludności niż zaspojenie narzekań estetów. Wszak wyrób rzemieślniczy i dawniej i dzisiaj najczęściej jest szablonowy i prymitywny, bo konsumentowi chodzi i chodziło zawsze pospolicie o taniość a wyjątkowo tylko o ozdobność i inne wyjątkowe zalety wyrobów. Indywidualne cechy wyrobów dawniejszych pochodziły najczęściej stąd, że każdy był osobno przez rzemieślnika robiony na zamówienie, dziś nawet rzemieślnik stara się odrazu robić kilka lub nawet kilkadziesiąt sztuk jednego rodzaju, jeżeli tylko ma zapewniony zbyt. Wiele wyrobów przemysłu ludowego, będącego dziełem całej ludności wiejskiej w dawniejszych czasach, posiada bardzo dużo cech estetycznych i świadczy o wysoklm stopniu poczucia estetycznego tej ludności. Czy dla utrzymania zmysłu estetycznego pożądanem by było, aby przemysł pozostał na tym samym stopniu rozwoju, aby nie rozwinął się w rzemiosło a następnie w przemysł fabryczny?

Co do wynalazków technicznych, to martwi się Kochanowski, iż „sprzyjają... postępowi ilościowemu, nie zaś jakościowemu ludzkości...“ tudzież że ułatwiają ludziom „osiąganie zbyt wysokiej stosunkowo formy zewnętrznej bytu“ i izolują ich od Natury i Boga (s. 201). Wynalazki wszakże polegają na lepszem poznaniu i wyzyskaniu sił i praw natury, są więc umiejętniejszem dostosowaniem się do niej a nie izolowaniem, bo to przecież jest zgoła niemożliwe. Ta „zbyt wysoka forma zewnętrzna“ bytu ludzkości w obecnych czasach jest tak charakterystyczna, że wystarczy ją tylko podkreślić.

Niemniej osobliwe wypowiada Kochanowski poglądy na oświatę a zwłaszcza na szkolnictwo. „Fabryka nowożytna edukacyi masowej, odbiegającej tak jaskrawo od dawnego cyzelunku dusz rylcem stosunku duchowego uczniów i nauczycieli-kapłanów swego powołania, w przeciwstawieniu do rzeszy zmechanizowanych biurokratów szkoły dzisiejszej: to niby porównanie pracowni mistrza z maszyną rotacyjną“ (s. 188). Razi go powszechność i wie-

lość w dzisiejszem szkolnictwie a zgoła nie wierzy w podnoszenie się jego jakości. Nie przyznaje oświacie szkolnej żadnego wpływu na moralność ludności i uważa to za „potworny, przerażający błąd!" (s. 189). Niepodobna zaś się wdawać w dłuższą dyskusyę na ten temat, chciałbym jednak zapytać Kochanowskiego, dlaczego to nie wymienił po nazwisku tej dawnej szkoły, którą uważa za nieskończenie lepszą od dzisiejszej, bo oddałby historyi wychowania ogromną przysługę. Czy przypadkiem nie miał on na myśli albo średniowiecznej szkoły parafialnej albo późniejszej jezuickiej, w których mistrzowie ryli równie skutecznie w duszach jak w ciałach wychowanków a jak uduchowieni i moralnie wysoko stojący z nich wychodzili ludzie, poucza nas aż nadto dobrze, choćby nasza historya. Zdaje mi się, że w pogoni za oryginalnością zagalopował się tu Kochanowski za daleko, bo mimo nieuniknionych wad i konieczności poprawy, szkoła dzisiejsza stoi nieskończenie wyżej ponad wszystkimi znanymi systemami szkolnymi dawnymi.

Co do współdzielczości, to Kochanowski nie uważa ją wprawdzie za niższą od rosyjskich „*artieli*" i cechów średniowiecznych, ale także niedopatruje się w niej żadnego postępu w porównaniu z niemi (s. 200), a tak łatwo bez długich nawet studyów spostrzec, że dzisiejsza współdzielczość, pokrewna niewątpliwie tamtym instytucyom, różni się od nich wybitnie na swą korzyść.

Tak samo jak dla szkoły, tylko słowa potępienia ma Kochanowski dla miasta olbrzymiego, jako dla „zarodzi i rozsadnika wszystkich okropności" moralnych, „wroga Boga, natury i człowieka, ogniska wszechzgrzytu i wszechbuntu życia" (s. 209). „Koszarowo-koczownicze, pozbawione pierwiastku osiadłości, jako osi kultury twórczej, staje się wielkie miasto dzisiejsze jak najbardziej realnem jej zaprzeczeniem..." (s. 210). I nic więcej. Jak można być tak naiwnie jednostronnym? Wszak wszyscy wiemy, że na prawdę źródłem kultury europejskiej i wogóle wszelkiej wyższej kultury jest miasto jako zagęszczenie ludności i zróżniczkowanie jej zajęć. Bez Babilonu, Memphis, Jerozolimy, Aten, Aleksandryi i Rzymu w starożytności, bez Rzymu, Florencyi, Wenecyi i Paryża w średnich wiekach, bez Paryża, Amsterdamu, Londynu, Lipska, New Yorku w czasach nowożytnych nie byłoby naszej kultury dzisiejszej. Szczera wieś europejska, razem z chłopem i jego panem, stałaby do dziś dnia na poziomie epoki wędrówki narodów

lub poprzedniej, gdyby tych „arcypotworców wielościowych doby nowożytnej“ nie było na świecie od kilku tysięcy lat. Nie trzeba zapominać, że nie ma wogóle idealnych, bezwzględnie doskonałych stanów ani instytucyi społecznych, że każdy twór społeczny ma obok dobrych i ujemne strony, nic dziwnego więc, że i miasto ma ujemne cechy.

* * *

Z kolei poświęcimy parę słów schematowi rozwoju ludzkości. Rozwój ludzkości wyobraża sobie Kochanowski jako polegający na kolejnem następstwie zasady równości i nierówności, panowania demokracyi i arystokracyi (str. 98—99):

1. Przewaga równości — na poły zwierzęce stada;

2. Przewaga nierówności — plemiona nomadów pod swymi przywódcami;

3. Przewaga równości — ludy rolnicze osiadłe;

4. Przewaga nierówności — ludy rolnicze pod wpływem niebezpieczeństw zewnętrznych przechodzą do monarchizmu;

5. Przewaga równości — gromadne a zwycięskie dążenia ludów;

6. Przewagę nierówności — na przyszłość zapowiadają liczne przesłanki.

Żyjemy więc w epoce trzeciego nawrotu zasady równości. Zaczęła się bardzo niedawno, bo dopiero od Wielkiej Rewolucyi francuskiej i od czasów konstytucyjnych w reszcie Europy, a już jej bliski koniec przepowiada Kochanowski. Jeżeli cechę jej charakterystyczną „gromadne a zwycięzkie dążenie ludów“ pojmiemy jako zwycięstwo zasady narodu, co się zgadza z poglądami Kochanowskiego w dalszym ciągu książki na znaczenie narodu (str. 140, 151—153), to musimy zauważyć, że przewaga równości wiąże się ze znacznie donioślejszymi punktami zwrotnymi w dziejach ludzkości niż przewaga nierówności, mianowicie: 1) powstanie człowieka, 2) powstanie osiadłości i rolnictwa, 3) zwycięstwo zasady narodowej. Przewagę nierówności uzasadnia w pierwszym wypadku koczownictwo (pasterskie), zupełnie nietwórcze kulturalnie, w drugim niebezpieczeństwa zewnętrzne, a więc czynnik ujemny, nietkwiący w istocie stosunków, w zbliżającym się trzecim jakieś przesłanki, nieokreślone bliżej przez autora. Jest rzeczą uwagi

godną, że Kochanowski nie przywiązuje wagi do chrześcijaństwa, jako punktu zwrotnego w rozwoju moralnym ludzkości. Co prawda nie mogły go do tego zachęcać tendencye demokratyczne chrześcijaństwa, jego idea równości i braterstwa wszystkich ludzi, jego tworzenie hierarchii niedziedzicznej czyli rodowo-arystokratycznej. Wogóle jest dziwne, że swego schematu rozwoju ludzkości nie oparł Kochanowski na podstawie postępu jej moralnego, albowiem schemat niniejszy nie oddaje rozwoju ludzkości w sensie postępu, ale rozwój w znaczeniu bytu wiekuistego i tylko oscylującego między dwoma zasadniczymi tego bytu formami.

Trzeba przyznać, że schemat Kochanowskiego ma dużo uzasadnienia, oczywiście z tem zastrzeżeniem, że to nie jest wcale rezygnacyą lub zaprzeczeniem postępu ludzkości. Jeżeli jednak jest on oparty na prawdzie a nie na złudzeniu, to znaczy, jeżeli ten przekładaniec równości i nierówności jest konieczny i nieuniknione w życiu ludzkości, to cel główny i idea przewodnia niniejszej książki są chybione właściwie, bo hierarchia — arystokracya i zasada równości — demokracya są równie uzasadnione i uprawnione i walka przeciw jednej lub drugiej nie jest zadaniem uczonych, ale praktycznych polityków, którym chodzi nie o poznanie prawdy, ale o interes własny lub interes grupy.

Co do tego schematu, to zauważyć jeszcze należy, że przyjmowanie epoki nomadyzmu dla całej ludzkości a nie dla pewnych tylko stref klimatycznych zostało porzucone w nauce; wprowadzenie jej na nowo wymagałoby koniecznie uzasadnienia. Na str. 256 pisze Kochanowski o „arcystadnych, bo wręcz jeszcze z ducha i ciała koczowniczych (a przeto właśnie podstawom życia osiadłego wrogich), sztandarach Rosyi“. Pomijając już daleko sięgającą nieścisłość w określeniu stanu Rosyi jako koczowniczego, należy zauważyć, że samo koczownictwo według jego schematu jest epoką wcale nie arcystadną, skoro w niej panuje przewaga nierówności.

* * *

Historyka najbardziej musi razić pogląd Kochanowskiego na przeszłość i teraźniejszość Polski. Przeszłość Polski wprost apoteozuje, natomiast teraźniejszość smaruje z passyą całkowicie na czarno. Polska wydawała „panów“ w stylu, bodaj czy nie najwspa-

nialszym. „Błąd polityczny... zrodził tu wspaniałe, nie mające sobie równych, typy moralne“ (s. 246). „Okrzyczany indywidualizm szlachecki“, który „nie zdołał był jeszcze wyłonić się z atmosfery gromadzkiej przeżytku rodowości średniowiecznej na pole nowożytnych działań społecznych“, nie jest odpowiedzialny za upadek państwa polskiego. „Wyrok ten... z logiczno-dziejowego punktu widzenia zgoła nieuzasadniony...“ (s. 255). Ani słówka o „*liberum veto*“ i unicestwieniu państwa przez gromadę możnowładców! Były w Polsce niewątpliwie wspaniałe typy moralne „panów“, ale były one bardzo rzadkimi wyjątkami, natomiast wielokrotnie liczniejsze były typy ujemne frondujących, spiskujących i zdradzających króla i Polskę „królików“, zaś ogół tych panów polskich z XVII—XVIII wieku, to szara masa miernot moralnych, polujących wiecznie na starostwa, a nie poczuwających się w zamian za to do żadnych prawie obowiązków względem państwa, nieznających uczucia wdzięczności. Nic bardziej fałszywego, jak mówić o „uczciwości bezwzględnej, która ongi tak licznych miała przedstawicieli“ w odniesieniu do ogółu polskich magnatów drugiej połowy XVII i pierwszej połowy XVIII wieku. Czyż możliwy byłby upadek Rzeczypospolitej, gdyby ogół tych przywódców narodu szlacheckiego stał wysoko pod względem moralnym?

O współczesnych zaś stosunkach polskich czytamy: „Niepodobna... odmówić t. zw. „postępowcom“ naszym... tryumfu Herostrata. Są to bowiem burzyciele, mimowolnie może, lecz „najzasłużeńsi“... więzi społecznej własnego narodu. Równie złośliwi, jak bezmyślni, święcą oni w powodzi klęsk dzisiejszych żniwo swoje: klęskę najcięższą z tych, jakie nas dotknęły — niebywałego nigdy i nigdzie w tym stopniu rozczłonkowania społeczeństwa na głowę bez kadłubu i kadłub bez głowy... A sekundują im w „pracy“ tej wiernie... tak liczni u nas pod względem swej polskości *homines novi*“... (s. 256—257). „Fałszywy jest bowiem punkt widzenia, że równać trzeba ludzi przez właściwe „ambitnej“ naturze naszej, obniżanie wyżyn:...“ (s. 265).

Zaleca Kochanowski Polakom „arystokratyzm, konsekwentny aż do męczeństwa“, radzi w tym celu „sięgnąć głęboko w swą przeszłość normalną“, w której znajdziemy „obok normalnych linii wytycznych rozwoju i przykłady inne: ludzi, co żyć potrafili... szeroką miarą człowieczeństwa, którego funkcyą było — zamiast tandety demokratycznej — pozostawianie po sobie trwa-

łych śladów bytu, zdolnych opromienić blaskami ducha wiele i wielu...“ (s. 268)·

„My, Polacy czasów ostatnich, zwykliśmy byli zmierzać do rzeczy „wielkich“, „postępowych“, „przodujących ludom“, ujawniając przytem... nadwątloną... komórkę istnienia: komórkę historyzmu, hierarchizmu, polonizmu rozwojowego — wręcz niemal rozsądku i zdrowych podstaw bytu“. „Braki te trzeba naprawić niezbędnie, by módz normalniej rozwijać się na przyszłość“ (s. 271) „...wyłącznie tylko u nas, chorych chronicznie na romantyzm demokratyczny, wskazania, jak powyższe, mogą się wydać niewczesnym wstecznictwem“ (s. 272). „...demokracya, ...u nas, wskutek iście samobójczej tolerancyi naszej, o wiele dalszą jest w praktyce życia od ideału czystej swej doktryny, aniżeli od tworzenia zamętu, powodującego zanik dziedzicznych wartości naszych,...“ (s. 273). „Demokratyzm nasz romantyczny apostołował zasadę wewnętrznego, niebywałego nigdzie w świecie — opartego na przesłance równości, związku dusz... Cóż za straszna, potworna w swem wyrafinowaniu wiwisekcya samoudręczenia — w uściskach pekudyzmu, pozbawionego przeciwwagi moralnej jednostek, wyposażonych we władzę rzeczywistą!“ (s. 273—274).

Po przeczytaniu tych ostatnich tak soczystych słów, będących okrzykiem zgrozy z głębi duszy arystokratycznej, wystarczy sobie przypomnieć, że najwybitniejszymi przedstawicielami tego polskiego demokratyzmu romantycznego byli Kościuszko i Mickiewicz, że należą tu Lelewel, Trentowski, St. Witkiewicz i St. Szczepanowski obok setek innych, którzy wyraźnie głosili podniesienie ludu do godności szlacheckiej a nie poniżenie szlachty. Całą zaś tę tyradę antydemokratyczną musimy uważać za niewczesną polemikę polityczną a nie za wniosek naukowy. Nie przypuszczam, aby Kochanowski naprawdę przekształcenie stosunków społecznych w Polsce po rozbiorach przypisywał pracy publicystycznej i agitacyjnej kilkuset czy nawet kilku tysięcy demokratów, postępowców i pozytywistów.

Na zmianę stosunków społecznych oddziaływują akty ustawodawcze i fakty ekonomiczne. Najdonioślejszymi aktami ustawodawczymi były tu akty dotyczące ochrony chłopa, następnie uwolnienie go z poddaństwa i nadanie mu własności ziemi, dalej zaprowadzenie równości wobec prawa i ustroju konstytucyjnego. Najważniej-

szym faktem ekonomicznym to stopniowy rozwój przemysłu fabrycznego i instytucyi kredytowych. Czy można dokonanie któregokolwiek z tych faktów przypisać ruchowi demokratycznemu polskiemu? Nie. Ustawodawstwo to należy do obcych rządów, przemysł zawdzięcza swe powstanie w części rządowi polskiemu i pozostałej po tym rządzie instytucyi kredytowej. Dlaczego nie ma odwagi Kochanowski rzucić się wprost na usamowolnienie włościan i uprzemysłowienie Królestwa, dlaczego nie wskaże środków na usunięcie tych fatalnych dla arystokratyzmu stosunków, zamiast pomstować na to, co jest tylko ich symbolem? Dlaczego nie napisał pozytywnie i poprostu, co właściwie uważa za składniki „historyzmu i polonizmu rozwojowego?“ Zdaje mi się, że nie potrafiłby wskazać niczego, coby nie było w tej samej, albo w większej, niż w czasie niepodległego bytu, mierze składnikiem kultury polskiej dzisiejszej doby.

Te tajemnicze słowa to tylko mistyfikacya konserwatywna. Poglądy Kochanowskiego nie znajdują potwierdzenia w historyi polskiej. Polska była od czasów Jana Zamoyskiego nie tylko z imienia, ale w rzeczy samej rzeczą pospolitą, zorganizowaną na zasadach ściśle demokratycznych. Już od czasów ustawodawstwa nieszawskiego demokracya szlachecka z powszechnem głosowaniem na sejmikach jest właściwą formą rządu. Równość prawna między szlachtą jest bezwzględnie przestrzegana, o jakiejkolwiek hierarchii w jej obrębie mowy być nie może. Jednakże tej kilkusettysięcznej rzeszy, stojącej na wszystkich stopniach kultury, niepodobna uważać za szczyty piramidy ludzkiej w Polsce, za arystokracyę. Wśród szlachty wyróżnia się grupa najzamożniejszych rodzin, która się nazywała i nazywa potocznie możnowładztwem, arystokracyą. Otóż stanowisko tej arystokracyi polskiej wśród szlachty było zupełnie analogiczne do stanowiska arystokracyi w obecnych stosunkach prawnych, które się tak sprzeczne wydają Kochanowskiemu z hierarchią i arystokratyzmem. Przy roli przywódców narodu szlacheckiego utrzymuje się ona środkami demagogów wszystkich czasów i ludów: „czapką, papką i solą“, t. j. pochlebstwem, szafowaniem własnemi pieniądzmi i protekcyą do pozyskania dochodów ze skarbu państwa. Hierarchia istnieje w tem znaczeniu, że masy ludu wiejskiego pozostają w poddaństwie dziedzicznem szlachty, że mieszczaństwo pozbawione jest praw politycznych, a w wię-

kszej części i praw osobistych, ale przypuszczam, że tej hierarchii nie chciał dziś zalecać Kochanowski narodowi polskiemu.

*
* *

Na tem uwagi moje o książce Kochanowskiego kończę, choć bynajmniej nie wyczerpałem jeszcze wszystkiego. Szczególniej nadawałaby się jeszcze do dyskusyi kwestya narodu i jego stosunku do masy, tudzież kwestya roli chrześcijaństwa w rozwoju ludzkości. Mimo całego szacunku dla wielkiej jego inteligencyi i ogromnego nakładu pracy myślowej muszę stwierdzić, że się na jego wywody naukowe nie godzę. Otwarcie wyznaję, że mimo to skorzystałem z jego książki wiele, obawiam się jednak, czy czytelnik, mniej obyty z zagadnieniami w niej omawianymi, odniesie korzyść z jej czytania.

Fr. Bujak.

Idee pokojowe i sprawa polska.

Słyszeliśmy już wiele o pokoju. Głośno więc było kiedyś o pokoju niemieckim, który miał przyjść choćby i bez zgody wrogów cesarstwa niemieckiego, a miał być pisany mieczem na powalonym przeciwniku i ostrzem jego wymierzyć miał nowe granice Europie. Pierwiastek terytoryalny jako zasadnicza podstawa tego pokoju uderzał przedewszystkiem i tenże sam pierwiastek, w łączności z ideą odwetu lub opieki nad słabszymi, wywieszał wschód i zachód jako hasło walki z Niemcami. Potem, po dwóch latach wojny, utrwalały się przesłanki pokoju mocarstw centralnych i usłyszeliśmy pierwszą jawną propozycyę pokojową. Z kolei doszedł głos z za morza, kiedy w głośnem orędziu Wodroowa Wilsona świat nowy światu staremu przedstawiał obraz szczęścia i pokoju przez uznanie praw wolnych narodów. Rewolucyjna, oscylująca w kierunku republiki Rosya, zachęca do pokoju bez aneksyi i odszkodowań. Socyalizm rzuca hasło pokoju międzynarodowo-demokratycznego. Równocześnie zaś prawie minister Ribot zapowiada pokój francuski. Były też i próby inicyatywy pokojowej ze strony neutralnej Europy, interesujące określenia zasad pokoju, ogłoszone przez austryackiego ministra spraw zagranicznych, mówiono wreszcie, że do zawarcia pokoju przyczynić się mogłaby powaga tyary papieskiej i rzeczywiście Watykan podjął się tego zadania.

Pragnienie pokoju, można więc powiedzieć, zakreśliło już bardzo szerokie kręgi, a dyskusya pokojowa przewyższa dziś stokrotnie dyskusyę o celach wojny, które kryć się muszą w coraz bardziej eufemistycznych określeniach. I tak np. w chwilach zmierzchu zapałów, spotykamy się z oświadczeniami kompetentnych nawet czynników, że wojna toczy się bez celu. Formuła *status quo*, wy-

suwana jako upragniony finał, teoretycznie zapewne do pomyślenia, w praktyce stwierdzałaby przecież tylko bezcelowość całej światowej walki — a aktorom jej nadawałaby charakter i godność bezmyślnych awanturników. Nie trzeba też długo dowodzić, że hasło bezcelowości wojny, skądkolwiekby ono wychodziło, jest jeno szukaniem wyjścia z zawrotnej sytuacyi ogólnej, gdy strona lub strony wojujące dochodzić się zdają do przekonania, że zamierzonych celów nie da się osiągnąć obmyślanemi środkami. Znaczy to również, że rozmiar przedsięwzięcia, jakiem okazała się wojna, przerasta jej twórców i że chętnie wycofaliby się z podjętej operacyi, gdy ona sama niejako wyszukała sobie wbrew ich woli własne cele i to sprzeczne z ich interesem. Cele więc wojny były i są nadal w programie państw walczących, a tylko obawa przed wzrastającą odpowiedzialnością nakazuje im odarty z treści frazes o bezcelowości pasować na hasło pokojowe. Najogólniejsze cele wojny były i są powszechnie znane; wszak wojnę toczy się po to, by zwyciężyć i po zwycięstwie mieć lepsze warunki rozwoju.

W początkach wojny ze zrozumiałych psychicznie powodów wywieszono z tej i tamtej strony wielkie hasła, mające usprawiedliwić potworny bój. Ogólne hasła cywilizacyi i kultury, istotą swoją kłócące się ze środkami walki, ustąpiły rychło miejsca hasłom różnic kulturalnych, oddzielających walczące światy W ich świetle ukazały się dokładniej ideowe założenia przeciwników, ze strony Niemiec wywalczenie siłą uznania wewnętrznych i zewnętrznych zdobyczy nowego niemieckiego cesarstwa, poczem głównie ze strony Anglii, zwolenniczki t. zw. równowagi świata, zniszczenie mocarstwowej potęgi niemieckiej, jako groźnego rywala w imperyalistycznej polityce. Słowa Ernesta Lissauera, aczkolwiek dziś nieco zapomniane: *„wir haben nur einen einzigen Feind — England“*, były szczerym wyrazem uczuć, ożywiających tak państwowy jak narodowy organizm niemiecki. Z za morza odpowiadało im brytańskie *ceterum censeo,* głoszące zagładę Germanii. Niemcy zwyciężały po kolei szereg swych wrogów, ale żadnego nie zwyciężyły tak, aby musiał przyjąć z ich ręki nowe warunki przyjaźni. Rozmiary znowuż, jakie przybrała antyniemiecka koalicya, pozwalały aliantom oglądać się wzajemnie na siebie, licząc na przyjaciela — czas, od którego spodziewały się poparcia. Wprawdzie Niemcy zawrócili z pod bram Paryża, ale przybyli im w sukurs dwaj nowi sprzymierzeńcy i z tą chwilą wojna z europejskiej zmie-

niła charakter na prawdziwie światowy. Wynik począł się już po trochu gubić we wszelkich obliczeniach, co tem łatwiejsze do zrozumienia, że zawrót dziejowy stanął odrazu poza wszelką dotychczasową tradycyą ludzkości. Walczono już w trzech częściach świata, czwarta wspomagała czynnie swoją metropolię, piąta, siląc się na sposoby rozwikłania węzła, poczęła sama ulegać sile przyciągania pożaru. A w ciągu lat wojna zmieniała i swój wewnętrzny charakter, przechodząc szereg różnorodzajowych ewolucyi. Jak na terenie europejskim przestała być polową, chroniąc się do rowów strzeleckich, jak wogóle z lądowej przekształcała się zwolna na morską w ekonomicznem znaczeniu, tak przeszły w niej także wybitniejsze okresy monarchiczno-feodalne, państwowo-centralistyczne, krystalizując się wreszcie zarówno w ludzkim jak i narodowym charakterze. Momenty religijne, które starano się poruszyć (przykładem „święta wojna“ wyznawców Islamu, krucyata prawosławna w Galicyi) epizodyczną tylko wobec poprzednich odegrać mogły rolę. Pierwiastek wyznaniowy, jako narzędzie nienawiści zawiódł naogół pokładane w nim nadzieje.

Ewolucye te i zawody tradycyonalnych sił ideowych wojny, jak i likwidacya częściowa lub zupełna marsowych haseł, wytwarzały wśród szerokich warstw walczących społeczeństw jedno tylko uczucie tęsknoty za pokojem. Z chwilą, gdy ginie lub zakrywa się mgłą bezpośrednia racya wysiłków i ofiar, musiało zrodzić się to pragnienie, tembardziej, że np. dla społeczeństw rządzących w orbicie państw centralnych, po efektywnych wynikach zagarnięcia nieprzyjacielskich terytoryów, co w dotychczasowych pojęciach nazywało się wygraną, dalsze trwanie wojny istotnie mijało się z celem.

W warunkach podobnych zjawiła się pierwsza zapowiedź pokoju w postaci rozpoczętych układów mocarstw centralnych z rządem króla czarnogórskiego. Acz sam w sobie pokój ów znaczenia wielkiego nie posiadałby, mógł jednak w razie dojścia do skutku podziałać zaraźliwie i stworzyć podstawy ogólnego porozumienia. Już wówczas tedy ze strony wojennie szczęśliwszej wyrażono logicznie i konsekwentnie, w myśl swych założeń, chęć położenia kresu dalszemu rozlewowi krwi. Wobec znanych okoliczności, pokoju ostatecznie nie zawarto. Ale nie rozstano się z myślą o nim i w czasie niedługim, jeszcze za życia poprzedniego cesarza Austryi, państwa centralne dla zadokumentowania swej woli pokojowej użyły środka żywego przykładu, który siłą swoją miał przekonać o niewyzyska-

nych jeszcze zasobach i mógł stanowić *memento* dla strony przeciwnej. Tak przyszedł do skutku akt 5. listopada, zapowiadający wskrzeszenie Królestwa Kongresowego. Choć sprawę wojska, a więc dalszych zbrojeń wogóle, stawiał na poważnym planie, nie był ten akt czysto wrogim występem np. wobec Rosyi, bo terytoryum tego już się Rosya poniekąd wyrzekła, a w każdym razie po swoich oświadczeniach w sprawie polskiej, nie mogła uznania praw polskich przez przeciwnika uważać za kamień obrazy, owszem widzieć w nim mogła także zrzeczenie się przez państwa centralne, a przedewszystkiem Niemcy, programu aneksyjnego. Ale tak najbardziej zainteresowana Rosya, jak i jej sojusznicy protestowali przeciw formie aktu listopadowego. Rosya traktowała jeszcze sprawę polską bądź co bądź jako swoje wewnętrzne zagadnienie i nie zanosiło się, aby chciała przeprowadzać rewizyę swojego programu.

W pięć tygodni zaś po akcie listopadowym w określonej i skończonej zdawało się już formie wystąpiły państwa centralne z apelem pokojowym dnia 12. grudnia 1916 r. Było to w pięć dni po zajęciu Bukaresztu, a więc po nowym sukcesie militarnym, gdy walka nad Sommą i pod Verdun względnie osłabła. Powołując się na niezwyciężoną siłę wszystkich czterech sprzymierzeńców, którzy „dla obrony swego bytu i swej swobody narodowego rozwoju zostali zmuszeni do chwycenia za broń“, proponowały cztery „sprzymierzone mocarstwa przystąpienie natychmiastowe do rokowań pokojowych“. „Propozycye — były słowa deklaracyi — jakie podczas tych rokowań przedłożą, a które zmierzają do zabezpieczenia honoru, bytu i wolności rozwoju swych ludów, tworzą według ich przekonania stosowną podstawę do przywrócenia trwałego pokoju“. Jeśliby walka mimo propozycyi miała trwać dalej, to państwa sprzymierzone odrzucałyby „uroczyście wszelką za to odpowiedzialność wobec ludzkości i historyi“. W komentarzu deklaracyi, jaki złożył kanclerz niemiecki w parlamencie, podkreślał on, że „dotychczasowe oświadczenia w sprawie gotowości do pokoju nieprzyjaciele Niemiec zawsze wymijali. Obecnie Niemcy uczyniły krok dalszy“. „Poruszają sprawę ludzkości, sprawę pokoju“. Równocześnie przedstawiciel funkcyonującego przy współudziale sejmu, rządu węgierskiego, hr. Tisza twierdził, że „przymierze, zawarte między Austro-Węgrami a Niemcami, zawsze miało charakter dążący do utrzymania pokoju“ w przeciwstawieniu do

agresywnej tendencyi sojuszu franko-rosyjskiego i angielskiego egoizmu i chęci panowania. „Tylko sposób, w jaki nieprzyjaciele walkę przeciwko mocarstwom prowadziły, nie pozwalał — zdaniem węgierskiego premiera — na uroczyste wyrażenie zamiarów pokojowych, przed nadejściem odpowiedniej po temu chwili“. — Deklaracya z dnia 12. grudnia 1916 r. była więc pierwszem publicznem wyrażeniem chęci pokoju ze strony państw środka i dążyła do bezpośredniej wymiany zdań i ułożenia warunków pokojowych, a zwracała się jednocześnie do wszystkich państw koalicyi. Nim jednak państwa koalicyi udzieliły odpowiedzi na deklaracyę, wystąpił z inicyatywą prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. W memoryale, przesłanym stronom wojującym dnia 22. grudnia 1916 r., proponował przedewszystkiem jawną wymianę zdań co do celów wojny. Stwierdzał, że „przywódcy różnych grup wojujących podawali te cele w ogólnych zarysach. Ale ujęte w takie zarysy, okazują się one po obu stronach jako jednakie. Nigdy jeszcze żaden mówca, wyposażony w autorytet, nie ujawnił części takich określonych celów, których osiągnięcie wystarczałoby jemu i jego narodowi do zakończenia wojny. Pozostawiono światu, aby sam wymyślił, jakie definitywny wyniki, jaka faktyczna wymiana gwarancyi, jakie polityczne i terytoryalne zmiany czy nowości, a nawet jakie stadya militarnych sukcesów mogłyby wojnę zakończyć“. Memoryał amerykański, poparty przez wszystkie prawie państwa neutralne, z wyjątkiem jednej Hiszpanii, nie ofiarowywał jednak pośrednictwa, a dążył jedynie do poznania warunków stron wojujących i chciał w tej formie zapewnić sobie i reszcie neutralnych udział w ewentualnych rokowaniach, co ze względu na ofiary, jakie neutralni, nie tocząc wojny, ponieśli, było z ich punktu widzenia zrozumiałe. Rządy państw centralnych w odpowiedzi na memoryał zakomunikowały, że za najodpowiedniejszą drogę, prowadzącą do celu, uważają „bezpośrednią wymianę zdań między mocarstwami wojującemi“. Do tej ostatniej nie przyszło, a koalicya wystosowała dnia 31. grudnia 1916 r. odmowną odpowiedź na deklaracyę. Odpowiedzialności za wywołanie wojny naturalnie nie przyjmowała, owszem zrzucała ją na państwa centralne, zaprzeczała ich zwycięstwu, a deklaracyę pokoju nazywała nowym „manewrem wojennym“. Obdarzając Niemcy szeregiem zarzutów natury polityczno-etycznej, wyjawiła między wierszami swoje warunki, których spełnienia żądała. Ogólnikowe te warunki brzmiały:

„sanction, reparation, garantie“. Prócz tego w dłuższym wywodzie zajęła się nota koalicyi Belgią, jej neutralnością i pogwałceniem tejże przez Niemcy.

Tak zakończył się rok 1916, a z nim ubiegło już 2 i pół lata wojny. Niepowodzenia, na jakie natrafiał pokój, nie mogły jednak zrazić i nie zraziły jego zwolenników, owszem zaznaczył się nawet wzrost tendencyi pokojowych, a deklaracya z dnia 12. grudnia 1916 r. może być uważana za datę przełomową w dyskusyi o celach wojennych. Chociaż więc odpowiedź przeciwników brzmiała wyzywająco i ironicznie, a wojna stawała się coraz bardziej zażartą, wyklęte dotychczas słowo „pokój“ nie schodziło już z ust dyplomacyi i opinii publicznej, a inicyatywa pokojowa przechodziła tylko z rąk do rąk i zmieniała jeno swoje postacie. Wśród dyskusyi ogólnej ogłosiła koalicya swój program w stosunku do państw nieprzyjacielskich, według którego Niemcy miały wrócić do znaczenia i rozmiarów z przed 140 laty, a Austro-Węgry rozpaść się na swoje części składowe. Był to naturalnie program kontynuowania walki. Następuje po nim 23. stycznia 1917 r. konkretna propozycya pośrednictwa, zawarta w orędziu prezydenta Wilsona do senatu amerykańskiego, w którem znalazły wyraz ideały stosunków polityczno-międzynarodowych, jak: pokój bez zwycięzców i zwyciężonych, wolność mórz, ograniczenie zbrojeń, równe prawa wielkich i małych narodów, a jako żywy obraz tych przesłanek „zjednoczona, niepodzielna i niezawisła Polska“ i „bezpieczeństwo życia, religii, wyznań i indywidualnego rozwoju wszystkich narodów“.

Nowe orędzie amerykańskie zamyka okres wielkiej akcyi pokojowej i ma ten skutek, że giną znów na pewien czas możliwości pokojowe, a państwa zmierzające do swych celów, wytężają się na dalej idące środki walki. W Niemczech proklamuje się hasło wojny podwodnej a wódz najpotężniejszej, jaka kiedykolwiek istniała armii niemieckiej, pierwszeństwo w honorze zwycięstwa i zakończenia wojny przekazuje morskim siłom Germanii. Ameryka, główna propagatorka pokoju, drogę do niego obrała przez wojnę.

Znalazł się przecież nowy pośrednik, aczkolwiek bez przeszłości i uznawanej w takich razach powagi. Dyplomatycznej misyi podjął się międzynarodowy socyalizm, który z biegiem lat orężnych zatracał dawne swoje pacyfistyczne oblicze. Wykształcony ideowo w pokojowej walce klasowej, poruszał się wcale raźnie jako siła orga-

nizacyjna stronnictw robotnicznych, politycznie ustępując innym, starszym od siebie czynnikom, od roku zaś 1914 spełniał jak mógł i umiał rolę wielu innych stronnictw wojennych. W zestawieniu ze swoją zasadniczo-opozycyjną przeszłością, życiowo stał się blady, choć trzymał się na powierzchni. Ani jego siła ilościowa, ani organizacyjna nie ubiegały się nawet o konkurencyę z wojenną organizacyą społeczno-państwową. Wróciło mu dopiero życie z chwilą przewrotu rewolucyjnego w Rosyi, gdzie tak wybitną rolę odegrały żywioły radykalne. Jest wprawdzie socyalizm rosyjski różnym od socyalizmów bardziej złożonych, zachodnich społeczeństw, a psyche narodowa rosyjska inaczej go ukształtowała. To też wystąpienie jego na szerszą widownię rozczarowało i zdziwiło postronnych, gdyż nawet i socyaliści innych krajów przestali byli liczyć na jego siłę, a cóż dopiero na tak daleko sięgającą możność. Uzewnętrznienie tych nieoczekiwanych zasobów na olbrzymich rozmiarach rosyjskiego państwa musiało, jak każda rzecz niezwykła a przytem zwycięska, dodać otuchy pokrewnym ideologiom za granicami. Nie brakło także oznak, że socyalizm rosyjski zechce wprowadzić w czyn jedno z międzynarodowych haseł, t. j. „braterstwo ludów“. O ile zatem rząd carski, związany tajnymi układami politycznymi, nie zdecydował się ostatecznie na zawarcie odrębnego pokoju, to, żywiono nadzieję, uczyni to niezawodnie nowa Rosya, której nie do twarzy z czerwonym sztandarem i jednocześnie z bagnetem w ręku. Istotnie też hasło pokoju „bez odszkodowań i aneksyi“ padło ze strony rządu tymczasowego Rosyi i głównego socyalistycznego komitetu, Rady żołniersko-robotniczej. Stolica Szwecyi, najbliższy okrężnie pomost między głoszącemi hasło pokoju Niemcami, a pokojowo usposobioną Rosyą, zaroił się od przejezdnych i konferujących. Na zadatek zgody i przyjaźni odpowiedziano z Berlina pochwalnemi życzeniami dla rewolucyi i bezwzględnem potępieniem idei carsko-monarchicznej. Socyalizm organizacyjny święcił tryumfy. Otwarły się wszędzie na oścież niedostępne dotychczas podwoje dla reprezentantów stanu robotniczego, znikły prawie ostrożności komunikacyjne, a na szerokim froncie od Bałtyku po morze Czarne święcono braterstwo idei pokojowej. Zwolenników pokoju było tak wielu, jak ongiś zwolenników wojny, a tak byli zapaleni, tak natarczywi, że groził nieomal wybuch krwawszych jeszcze zapasów, tym razem przecież o samą już tylko formułę, prowadzącą do zgody. Wojna rzeczywiście

odżyła. Mimo to nie przeszedł bez wrażenia i głębokich przemian wewnętrznych w świecie przewrót rosyjski. Czy nazwać go częściowem zwycięstwem idei socyalistycznej, czy też wolnościową zdobyczą narodu rosyjskiego, — przyniósł on sprawie pokoju zysk ogromny, wysuwając szereg wzniosłych zasad: ludzkości, prawa narodów i demokratyzmu, tem donioślejsze mających znaczenie, że zrozumiałych, budzących interes i przyjętych z uczuciem ulgi przez najszersze warstwy. Nie sprowadził ogólnego pokoju, nie dostało mu siły moralnej i potęgi tradycyi, nie zawarł też pokoju odrębnego z obawy, aby nie sprzeniewierzyć się głoszonym ideom. Różne jeszcze mogą być jego losy wewnętrzne, może nawet uledz poważnym przeobrażeniom, ale w zasadach pokoju, który kiedyś przyjdzie, wyryje zapewne swoje ślady, bo dobre strony, jakie ujawnił, stały się wspólną wszystkich własnością.

Raz ocknięty rewolucyą rosyjską socyalizm, nie zasypiał sprawy mimo oficyalnych niepowodzeń. Stockholm, współczesna Mekka dla międzynarodowego „proletaryatu“, stale głośny i niemniej pracowity, gościł w swych murach różnego rodzaju socyalistów, którzy tam, na neutralnym gruncie, mieli dopiero sposobność przekonać się, czem jest poczucie narodowe. Kierunek społeczny, jako rywal zawodowej dyplomacyi, przyczynił się niezawodnie do częściowego obalenia powagi przeciwnika, sam też skorzystał wiele z jego doświadczeń i nie było bez tego, aby nie zapragnął pozazdrościć mu sławy. Afery jednak „nowej dyplomacyi“ pozostały aferami bez szerszego znaczenia, Stockholm zaś jako arena pokoju ludowego stracił na powadze i wartości, chociaż socyalizm nie zarzekł się bynajmniej dalszej propagandy, odkładając ją tylko do pomyślniejszych warunków. Wyczekujące, pierwotnie nawet sympatyzujące stanowisko państw ententy wobec ruchu socyalistycznego, zostało nagle zmienione w duchu wprost nieprzyjaznym.

O ostatniej próbie pośrednictwa pokojowego, którego podjął się Watykan, możemy dziś mówić jak o sprawie przesądzonej, znamy już bowiem opinie państw zainteresowanych. Wstępująca dopiero do wojennego nowicyatu Ameryka postawiła narodowi niemieckiemu za warunek, ni mniej ni więcej, tylko przewrót wewnętrzny i usunięcie narodowej dynastyi. Warunek taki nie wpłynie prawdopodobnie na przybliżenie końca. Odpowiedzi władcy Austro-Węgier, kanclerza Niemiec i króla Bawarskiego wyrażają zgodę na rozpoczęcie rokowań, a idą dalej niż poprzednio w okre-

śleniu zasad pokoju, stawiając nietylko program wolności mórz, ale godząc się także na uznanie w przyszłości międzynarodowego trybunału rozjemczego i na ograniczenie zbrojeń. Konkretne projekty noty papieskiej, tyczące się zwrotu obsadzonych obszarów, porozumienia w sprawie obszarów spornych i poszczególnych kwestyi narodowych (w tem sprawy polskiej) — chcą państwa centralne uczynić treścią samej dopiero konferencyi pokojowej, czyli że wcale nie przesądzają kierunku ich rozwiązania. Moment ważny i nowy, wobec poprzednich oświadczeń Berlina, stanowi wyrażenie nadziei, że w przyszłości miejsce „materyalnej siły oręża" musi zastąpić „moralna siła prawa". Tekstu odpowiedzi koalicyi jeszcze niema, ale może go nam poniekąd zastąpić program nowego rządu francuskiego, który streszcza się w woli kontynuowania wojny aż do zwycięstwa.

Tyle treści najogólniejszej z dotychczasowych oficyalnych przedsięwzięć w sprawie przywrócenia pokoju. Sumując ją i zestawiając obustronne warunki, bilans pokojowy przedstawia się następująco: państwa centralne, opierając się na uzyskanych zdobyczach terytoryalnych, ofiarowują pokój, stwierdzając tem, że spodziewają się osiągnąć w nim swoje cele wojenne, — strona zaś przeciwna nie straciła nadziei uzyskania militarnego sukcesu. Nadejście pokoju ulega więc odwłoce.

Jakie jeszcze będą koleje walki światowej i co ją ostatecznie zakończy, przewidzieć trudno, również trudno oznaczyć termin likwidacyi zapasów, sądząc z samej ilości zapasów materyału ludzkiego i ekonomicznych środków. Są to zapewno bardzo dostrzegalne probierze wytrzymałości, ale nie jedyne. Innym zaś z probierzy długotrwałości wojny, probierzem moralnego znaczenia być może i jest niezaprzeczenie sprawa polska. Wypłynęła na widownię samorzutnie, choć nie miała własnowolnej materyalnej siły, aby ten program samej postawić. W pierwszej proklamacyi rosyjskiej uznawał rząd zaborczy Polskę za jedność etnograficzną i taką chciał włączyć do swojego imperyum, obiecując samorząd, wolność religijną i językową. Ustępując z naszej ziemi, przyznawał już, zawsze jednak w wspólnych ramach państwowych, autonomię przyszłej Polsce. W trzecim roku wojny proklamacya rewolucyjnej Rosyi uznała niepodległość Polski w nadziei, że nowe państwo wojskowo będzie związane z Rosyą. Za cenę tedy przyszłej konwencyi militarnej zrzekła się Rosya na rzecz państwa polskiego

terytoryum Królestwa kongresowego, jako swego byłego stanu posiadania. Dwa inne państwa rozbiorcze aktem 5. listopada 1916 roku w zasadzie przyznały tej samej części Polski prawa niezawisłości, a patentami z dnia 16. września b. r. zapowiedziały utworzenie rządu polskiego, żądając koniecznego choć dobrowolnego opowiedzenia się w walce po swojej stronie. Aktom państw rozbiorczych w sprawie polskiej towarzyszyły zwykle oświadczenia zaprzyjaźnionych rządów, tak, że stan faktyczny uznany przez Austro-Węgry, Niemcy i Rosyę, był zarazem potwierdzany lub witany z zadowoleniem przez zainteresowane państwa czwórprzymierza i koalicyi. Osobno podniosła i uznała sprawę polską jeszcze Ameryka. Ostatnio Watykan.

Że sprawa polska i jej rozwiązanie w duchu państwowości polskiej nie były pierwotnie celem Niemiec, stwierdził to bez ogródek b. kanclerz niemiecki, dyskutując z trybuny parlamentarnej z dawnym rządem rosyjskim, że przez ów dawny rząd rosyjski nie była stawiana z zamiarem dotrzymania przyrzeczeń, to znowu wyjawił rząd rewolucyjnej Rosyi. — Nie możemy za to do nikogo żywić specyalnej pretensyi i nie żywimy jej, bo zresztą sentymentom w takich wypadkach nie byliśmy radzi dawać wiarę. Oświadczenia te są dla nas tem cenniejsze, że dowodzą wyniesienia sprawy naszej jej własną siłą moralną, gdy materyalną nie mogliśmy rozporządzać, — to jest też przyszłości naszej wielkiem zapewnieniem, a dziś twórczą nadzieją. Rzeczą zaś wierzących jest pokierować siłą narodu tak, aby energia nie paliła się daremnie. I tu zwrócić chcieliśmy uwagę na błąd, a może nawet zaniedbanie powołanych polskich czynników. Papieska nota pokojowa wprost niewspółmiernie do aktualności międzynarodowego znaczenia poruszyła sprawę Polski. Nie wyciągnęła oto konsekwencyi chociażby z oświadczeń państw wojujących. Przyczyny tego zjawiska należy szukać nietylko może w Watykanie. Jest tu i część winy tych naszych czynników, które mogłyby i umiały zapewne poinformować sfery kuryi o istotnych dążeniach i stanie polskiego narodu, ile że mogłyby znaleźć tam otwarty i łatwy dostęp. A nietrudnej rzeczy przyszłoby im dowodzić.

Polska jako całość, milcząca dotychczas, a w porównaniu z przeszłością rażąco trzeźwa, dopiero w dyskusyi pokojowej odnajdywała odbicie własnych idei. W czasie wojny światowej przeżyła jeszcze raz całą swoją smutną, a pełną nadziejami porozbio-

rową przeszłość i tembardziej silnie utrwaliła w sobie zasady jedności. Obce hasło przetrwania zastało ją trwającą już tyle lat. Z kolei zyskała symboliczne wprawdzie potwierdzenia swych dążeń. Mówiono już otwarcie raz o jej zjednoczeniu, raz o niepodległości, choć wciąż jeszcze wymagano deklaracyi przynależności do stron świata, do kultur i cywilizacyi. Hasła demokratyzmu, samookreślenia narodów, tolerancyi, wreszcie panowania prawa w przeciwstawieniu do siły materyalnej, znów w pełniejszem świetle ukazały jej przyszłość. Świat przerodził się w wojnie i przeszedł ewolucyę ku lepszemu, w czem Polska czerpać może swe siły.

Są państwa, które przechodzą pożyteczne ewolucye za późno — za wcześnie przechodziła je pod niejednym względem Rzeczpospolita. — Dlaczego? Może przyczyną była tu mała znajomość postronnych lub nawet obojętność nasza wobec „reszty świata“, choć nie brakło za to zwykłego naśladownictwa. Może za wielka wiara, że „sprawiedliwość i wolność“ wszyscy jednako i na równi z nami kochają i rozumieją. Polska odpokutowała strasznie za swoje braki i wady, ale w czasie stukilkudziesięcioletniej niewoli nauczyła się wiele i lepiej dziś rozumie nietylko świat cały, ale i własne potrzeby. Zmiany te obserwujemy nietylko my sami, obserwują je także i obcy, którzy w czasie wojny, na podstawie przestarzałej już znajomości Polski, budowali lotne programy. Na tle zmian, jakie powstały w narodowym charakterze Polaków, jak i na mylnej czasami oryentacyi postronnych w ocenie naszej psychologii, odtwarzano jeszcze próby użycia elementu polskiego za przedmiot, za pospolity środek wojenny. Próby te natrafiły na próżnię dlatego, że inicyatorzy ich za mało mieli wiadomości o pierwiastkach duchowych Polski jako całości, dlatego że w instynkt całości Polski nie wierzyli. Pomyłki własnej nie dostrzegając, nie doceniając moralnej strony naszej sprawy, rościli potem pretensye do samych Polaków. Częściowe uzasadnienie swych rozczarowań mają poniekąd w zachowaniu się tych naszych kół, które w krótkowidztwie stronniczem, czy w nieznajomości własnego społeczeństwa i dzisiejszego jego wyglądu duchowego, pospieszyły narzucić się mu na przywódców, z myślą o zagarnięciu władzy. Myłce obcych odpowiadała więc zbytnia dufność drugich — i chodziłoby tylko o to, by pretensye kierowano pod właściwym adresem, a nie jak się dotychczas działo, pod adresem narodu.

Nasz program, który zagranicy mimo wszystko, podoba się czasem jeszcze nazywać utopią, został jawnie ogłoszony we wszystkich trzech dzielnicach i w czwartej, t. j. emigracyi, skoro nastała możliwość ogłoszenia go, zgodna z zasadami pokoju, jakie świat za swoje dziś uważa. Opiera się na uznaniu praw narodu z tyciącletnią przeszłością, swoistą kulturą i zasługami wobec ogólnych dóbr ludzkości, — praw w zakresie niepodległości i przywrócenia zjednoczonego polskiego terytoryum. Program nasz nikogo nie krzywdzi, a krzywdom tylko naszym kres kładzie, więc wrogi dla nikogo być nie może.

Wojna osiągnęła już punkt kulminacyjny. Twórcy jej powoli znikają, a mocarstw europejskich nie reprezentuje już ani jeden z rządów, które zastał rok 1914. Mimo zmian na stanowiskach kierowniczych, mimo przewartościowania systemów i programów rządzenia, utrzymują się hasła walki, a zasady pokoju powoli tylko przybierają życiowe kształty. Gdy nabiorą pełnego już wyrazu i przejdą od określeń do stwarzania całkowitych, nie symbolicznych faktów, gdy znajdą formę i treść, odpowiadającą nowoczesnym rozumieniom, niejątrzącą społeczeństw, zginą też i przyczyny zatargu. Jeżeli jedną z tych głębszych przyczyn było wymazanie Polski z karty Europy, z grona „równopoważanych narodów“, to przywrócenie jej pełni praw niezależnego bytu da światu upragniony pokój. A świat zmierza do pokoju na długie lata.

K. W. Bartoszewicz.

Mieczysław Jakimowicz.

Dnia 26. lipca umarł w Zakopanem Mieczysław Jakimowicz. Nieliczne grono obecnych w letnisku artystów i przyjaciół z głębokim żalem odprowadziło jego zwłoki do kamienistego wzgórka, który w oczach wyrósł, przywalając tę przedwcześnie odłamaną gałąź kwitnącą. W zenicie rozkwitu sił duszy, w pełni świadomości o swym artystycznym kierunku, w dobie przesycenia wątłego cielesnego naczynia najbardziej wybujałemi mocami wyobraźni musiał odejść młody artysta. Skazany przez nieubłaganą chorobę na długotrwałe zamknięcie w pracowni, przepalał się we własnym ogniu i oddawna zstępował w głębiny, których zazwyczaj unika organizm zdrowy. Wiedząc, jak nieliczne są dni jego pobytu na ziemi, pragnął w ciągu trwania ich małego zasobu zmieścić wszystko, wydać, czego pełną miał duszę, wyrazić wzruszenia, przeczucia, trwogi i widziadła, o których nie chcą wiedzieć śmiertelni. W małej jego pracowni pełno było kwiatów, a przez szyby okna widziało się jedynie rozkołysane korony liściastych drzew. W ciągu poziomych i nękających trosk tych dni istnem duchowem wytchnieniem była każda godzina, spędzona w jego kwiecistej izbie, zdawało się bowiem, że się jest kędyś daleko od tych czasów, zdarzeń i stron, że się obcuje z jednym z uczniów Fra Angelica. Głęboki spokój, niezmącona pogoda, łagodny i wesoły uśmiech, stała i mocna wiara artysty w to, iż stoi u naszych drzwi „szczęście polskie“, jak hetman Żółkiewski nazywał wolność i potęgę całej ojczyzny, — dziwnie odpowiadały obrazom wiszącym na ścianach.

Tkwiły tam postaci ludzkie, jakgdyby utworzone ze mgły, wynurzające się z nocy wieczystej i uchodzące w noc wieczną. Oto mara człowiecza, którą może wczoraj, może dziś właśnie widziało się na swej drodze i ominęło w zaułku. Starzec schorzały,

schudzony, pan wstydzący się żebraniny, „samotnik“, przechodzień po drogach ziemi. Widać tylko jego głowę i część odzienia, odzienia wyniszczonego do cna, przepoconego do ostatniej nici, zgniecionego i wypchanego, które nie jest ubraniem, szatą, ni strojem, lecz wieloletnią, napoły zgniłą — zaiste — częścią ciała. Jakiś mętny półblask, który świeci w kruchtach, w kaplicach cmentarnych, w przedsionkach szpitalów rozwidnia zżółkłe czoło i wychudzone policzki, oraz uwłosienie zaniedbane, rosnące, jak chce, — proces natury, porost, mech. Lecz to światło wśród miękkiej i bezwładnej miazgi oblicza, oblicza, które jest jakgdyby zsyntetyzowaniem wszystkich ludzi schorzałych, symbolem człowieczej nędzy, opuszczonej starości, niedoli samotnego istnienia, zupełnym wizerunkiem wszystkiego, co jest społecznem pogwałceniem człowieka przez ludzkie stado, — natrafia na coś, co blask odtrąca, zamyka i przełamuje w sobie ze złowieszczą potęgą. Są to ciemne, niemal czarne okulary. Nie widać za nimi oczu, a przecież za martwemi plamami szkła ukrywa się i wlepia w nas straszliwy wzrok. Spojrzenie wszystkich nieszczęśliwych tego padołu, wzrok tysięcy oczu ze wspólnych sal, ze schronisk, przytułków, z kaźni więziennych, z łóżek samotniczych po poddaszach i piwnicach spogląda na widza, pragnącego ujść coprędzej, wołając martwym swym głosem: — niedaleko, niedaleko odejdziesz...

W drugiej ramie, wśród tej samej półmgły, na ciemnych smugach krzyża ukazuje się jakby strwożona i skamieniała ze zgrozy twarz Chrystusa, którego skrwawione, przebite ręce tkwią nad marami strąconemi w otchłań przez straszliwą siłę śmierci. W takisam sposób malowane są postaci cyklu Anhelli, — portret młodego chłpoca z opuszczoną na piersi głową, którego złożone dłonie jedynie wyłaniają się z półmroku, — obraz starca, nad którym pochyla się kobieta-widmo, — wreszcie komponowane podobizny grup i jednostek. Posługując się w malarstwie swem tylko kredą, ciemnym tuszem i gwaszem, wprawiając te zasadnicze barwy w tło kartonu, Mieczysław Jakimowicz osiągał w sztuce rysunkowej czarno-białemi efektami rezultaty wiadome, wielekroć przez innych stosowane. Lecz rozpraszanie, rozcieńczanie i pogłębianie tych dwu elementów barwy do nieskończoności dawało mu możność sięgania w głąb, aż do nieskończoności zamglenia kształtu, — a przez użycie szczególnych oświetleń chwytania półkształtów, półbytów, wyrażania spraw półświadomych,

podświadomych, kreślenia obrazów z krainy widzenia, urojeń i snu. Postaci jego nie są to ludzie, podawani nam do widzenia przez sztukę wielobarwną, usiłującą pochwycić zewnętrzną powierzchnię, utrwalić istotną barwę i rzeczywisty kształt, powtórzyć i odtworzyć rzeczywistość. Malarstwo jego z tego okresu nie usiłuje również, czyniąc zadość potrzebom barwy i kształtu, z układu kolorów tworzyć rozkoszy dla wzroku ludzkiego. Są to raczej ci ludzie codzienni i pospolite przedmioty, których i które na wieczne symbole przeistaczał Edgar Poë, lub Dostojewski. W przygodach „Gordona Pyma", lub w przypadkach „Idyoty" ludzkie są opowiedziane sprawy, lecz nadana im jest jakaś cecha, rzucone jest na nich jakoweś światło szczególne, o którego istnieniu i promieniowaniu prawdopodobnie sam twórca nie wiele wie. W dziejach Gordona Pyma streszczona jest jakgdyby cała natura i istota czynów ludzkich, — a historya „Idyoty" to obraz świętości ducha, osaczonej przez zwierzęcość ludzkiej ciżby. Nie chciałbym czynić tutaj zestawienia pracy cichego artysty z genialnemi dokonaniami w innej dziedzinie, chcę tylko zaznaczyć, iż przez kartony Mieczysława Jakimowicza przewija się owo światło szczególne, które uwydatnia najistotniejsze przeżycia człowieka: miłość, tęsknotę, samotność, przedśmiertną wędrówkę ku mogile, trwogę i śmierć. Mówiono i pisano w swoim czasie o powinowactwie jego twórczości z rodzajem Klimta, czy Knopfa. Być może, iż na wybór barwy pewne wpływy nacisk wywarły. Lecz niczego to nie dowodzi. Stanisław Wyspiański utrzymywał (w rozmowie z piszącym te słowa), że twórczość każdego artysty-plastyka powinna przejść przez szereg poprostu naśladownictw arcydzieł, dopóki nie natrafi na swe własne odkrycie formy. Czy taką ma być w istocie droga twórczości, nie pora tutaj roztrząsać. Mieczysław Jakimowicz, jakiekolwiek oddziaływały nań wpływy, był rysownikiem oryginalnym i artystą samoistnym tak dalece, że groziła mu druga ostateczność w tworzeniu, to jest powtarzanie wielekroć tych samych środków artystycznych. Uniknął tego niebezpieczeństwa w sposób jaknajbardziej stanowczy i świadomy, przerzuciwszy się do innego zgoła rodzaju malarstwa, czyli do miniatury barwnej. Ta zapomniana dziś sztuka Gainsborough'a, Reynolds'a, Jana Petitot'a i Chodowieckiego ulegała zmajoryzowaniu przez malarstwo sztalugowe, ścienne i witrażowe. Zdaje się, że to Mieczysław Jakimowicz nadał temu rodzajowi u nas nowe, swoiste

piętno. Rozległa gama łagodnych przejść i subtelnych odcieni weszła tu między dwa zasadnicze kolory, któremi posługiwał się przedtem. Artysta wzniósł się ponad dawniejsze swe upodobanie. Chwyta teraz w całości zewnętrzny kształt, lecz po dawnemu odtwarza w tych małych obrazach charakter, istotę, duszę.

Krótko trwała doba pracy zgasłego malarza. W roku 1904 dostał drugą nagrodę za rysunek „Ręce“ na konkursie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. W roku 1910 rząd francuski zakupił z wystawy salonu „*Société Nationale des Beaux Arts*“ do muzeum luxemburgskiego obraz „Dziwne oczy“. Wystawy, urządzane w Kolonii, Düsseldorfie, Wiedniu, Berlinie, Paryżu, we Lwowie, Warszawie i Zakopanem, jednały Mieczysławowi Jakimowiczowi pochlebne oceny krytyki i głębokie, częstokroć do uwielbienia dochodzące, uznanie miłośników sztuki. Wśród odgłosów walk, które codzień zwiastują śmierć młodzieńców i mężów dojrzałych, wieść o zgonie chorego i skromnego artysty przeszła bez echa. Tylko bliscy wiedzieli, że usunął się człowiek mocnego ducha i przestało bić najpłomienniejsze serce. Im bezwładniejszą stawała się jego ręka, tem większem utęsknieniem ku ujrzeniu radosnej wieści płonęły oczy. Jakże okrutną była świadomość odejścia bez tej wieści ostatniej dla takiej tęsknoty!

Dusze przyjazne starały się nosić choremu conajwcześniejsze codzienne pisma, ażeby niecierpliwą, gorączkową jego żądzę nasycić. Gdy przyjdzie wreszcie wieść najradośniejsza, tak bezmiernie przezeń pożądana, należy zamiast kwiatów więdnących położyć tę wieść szczęśliwą na mogile kamienistej, która przepojona została Nim, czyli tęsknotą i miłością.

Stefan Żeromski.

Polityka, prawo i etyka.

IV.

20. **Nauka polityki.** Jeżeli nauka polityki, jako sztuki tego, co możebne, ma spełnić swoje zadanie, to przedewszystkiem nie wolno oczekiwać po niej rzeczy niemożebnych —, nie wolno żądać od niej tego, czego ona dać nie może. A w szczególności ona lada kogo nie wykształci na fachowego polityka, jak znakomite dzieło G. Freytaga o technice dramatu nie nauczy pisać komedyi ani tragedyi, ani genialna teorya sztuk pięknych Tain'a nie wychowa nam artystów. Albowiem polityka jest również o tyle sztuką, że wymaga zdolności twórczych, zaczem też idzie i to, że geniusz może działać także przeciwko jej regułom, jak Szekspir tworzył dramaty przeciwko teoryi o trojakiej jedności, wonczas za dogmat uważanej. Wszystko może geniusz przewrócić, ale nie wolno mu burzyć moralnego porządku w życiu ludzkiem, osobnikowem czy zbiorowem, — a poznanie zasad tego porządku jest także i nauki szczytnem powołaniem. Wiedza ułatwia oryentacyę w życiu praktycznem, ale sztandaru politycznego wywiesić nie zdoła. Każda akcya polityczna ma swój kierunek, ale mimo to żaden kierunek polityczny nie jest naukowym, czy to konserwatywny, czy liberalny, czy jaki inny, bo nauka sama światopoglądu nie stwarza. Idea własnowolności narodów, czyli przyznania im prawa stanowienia o sobie, na której ma być przyszły pokój oparty, nie jest wynikiem naukowych poszukiwań. Naukowa polityka byłaby złą, doktrynerską (J. St. w *„Kuryerze Poznańskim"*). „Naród nie może rozwiązać swego żywotnego zagadnienia za pomocą wniosków wyrozumowanych, lecz tylko postanowieniem w zapale powziętem" (Z. *„Baseler Zeitung"*).

Wspomnieliśmy o mocy obowiązującej etyki w każdej polityce twórczej lub naśladowczej. Ale dotąd jeszcze niektóre rządy i szerokie warstwy w niektórych państwach kładą znak zapytania, gdy mowa o propagandzie etyki dla polityki. A jeżeli pozatem polityka jest rezultatem sił twórczych w człowieku drzemiących, myślą rozbudzonych, to zadają sobie nawet wybitni uczeni pytanie, czyli dla poznania istoty polityki droga naukowa wogóle jest możebna i potrzebna? (Ph. Zorn, Calker). Ażeby sobie raczej utrudnić, aniżeli ułatwić odpowiedź na to pytanie, przypomnijmy sobie, jak się wielki filozof o niej wyraził. Oto jego słowa: „Ilekroć mój umysł zwracał się ku polityce z tą samą ścisłością umysłową, jakiej nam potrzeba wobec matymatyki, zadawałem sobie największy trud, aby nie śmiać się z ludzkich poczynań, nie gniewać się, nie narzekać na nie, lecz je rozumieć“ (Spinoza). I w istocie mnogie tu się piętrzą trudności. Dla objaśnienia zjawisk w życiu politycznem nie wystarczy prawo przyczynowości, jak w socyologii. Na nagłe a niespodziewane zwroty i zmiany w historyi i polityce składają się rozmaite pobudki ludzkiego czucia: miłość, złość i zawiść, których nie należy uważać za wyjątkowe stany i przygodne wady ludzkiej natury, lecz jako jej właściwości, tak samo do niej należące jak ciepło, zimno, burze i pioruny należą do powietrza i nieba (Morley). Nawet w okolicznościach, w których nam się wydaje, że doświadczenie podało niezawodne przesłanki do logicznej konstrukcyi, często się zdarza, że ona się rozpada, gdy wiązania jej budowy przegryzą „nieważkie czynniki“, albo walić w nią zaczną owe „siły duchowe“ i „moralne energie“, których działanie, wspólne lub kolejne, jest największą i szczelnie zakrytą tajemnicą w dziejach świata (Leopold Ranke † 1886, Kjellen). Ale mimo to prawdą jest, że polityką nigdy „ślepy traf nie powodzi“, chociaż — dajmy na to — klęski żywiołowe mogą zmienić jej kierunek, jak np. nieurodzaje kierunek wojenny na pokojowy; atoli zawsze ludzie kreślą jej linię i prowadzą ją po niej swobodnie lub z konieczności, świadomie lub półświadomie. Ale „Dzieje ludów“ bywają nieraz tworzone z małą świadomością. Oto np. wielka Unia amerykańska wstąpiła przed laty na drogę imperyalizmu z odwróconemi oczami, a może z zawiązanemi? (Kjellen). Podobnie też jej udział w teraźniejszej wielkiej wojnie jest po części poniewolny. Tego rodzaju zjawiska w rozwoju życia narodów i państwa nie objaśni ani historya swoją

perspektywą dziejową, ani socyologia swoim determinizmem; na to potrzeba osobnych badań naukowych według odmiennych widoków i w innych kierunkach, któremi się zajmie nauka polityki wtedy, gdy dorośnie do podjęcia tych arcytrudnych zadań. Socyologia jest nauką młodą, zaś o polityce pisze się od lat tysięcy; uwzględniając jednak radykalne zmiany w układzie społecznym ludzkości po Arystotelesie i jego dziele, które dotychczas jako jedyne naukowo skończone uchodzi, to ze względu na potrzeby naukowe obecne, z gruntu odmienne, możemy powiedzieć, że nauka polityki znajduje się dotychczas w pierwszej kwadrze, a może dopiero w nowiu; na pełnię długo jeszcze będziemy czekali. Jej stanowisko w systemie nauk wogóle, a w szczególności nauk o człowieku i t. zw. nauk duchowych *(Geisteswissenschaften)*, w przeciwieństwie do przyrodzonych, nie jest ani w przybliżeniu tak umocnione, jakby to odpowiadało znaczeniu, które tejże radzi przypisujemy (Lotmar). Po nauce polityki oczekujemy przedewszystkiem tego, co nam każda nauka rzetelna dać powinna: ażeby należycie uporządkowała i sklasyfikowała przedmioty, starała się o wykrycie prawideł panujących, objaśniła zjawiska i przez to wszystko wyzwoliła umysł od niespodzianek i niepewności, uczyniła go zdolnym do przewidywania (E. Renan). Nauka nie czeka na fakty, ale w przewidywaniu, że nastąpią, tworzy idee, które przygotowują umysły na zdarzenia; bez tych idei mielibyśmy tylko praktykę po zdarzeniach, ewentualnie ze skutkami szkodliwymi, możebnie już nie do naprawienia (Hauriou). Zamiast panowania idei nastałyby rządy, albo raczej nierząd z przysłowia: „*eventus magister stultorum*“. Biorąc na to przykład z niniejszej rozprawy, to znajdujemy w niej próbę usprawiedliwienia idei odwetu prawnego i potępienia odwetu politycznego li ze stanowiska naukowego (19). Jeśliby się w nauce przyjęło i przez nią po świecie rozszerzało zapatrywanie, że ostatni ten odwet jest polityce obcy, bo przezeń prawo zostaje znieprawione, toby w społeczeństwach, w których nauka uzyskała powszechne poszanowanie, od razu wzięło górę przekonanie, że państwo, które wywłaszcza i wynaradawia, nie prowadzi żadnej polityki, ale rządzi uprawą bezprawia.

Najlepiej poznajemy ogromne znaczenie nauki dla życia i ludzkości, gdy poruszymy jej stosunek do religii, a więc do życia naszego, sięgającego w krainę wieczności. Pomijając naukę, ma-

jącą religię za przedmiot bezpośredni (teologię), styka się nauka etyki świeckiej z religią o tyle, że wszędzie etyka jest emanacyą religii (3). Wierzącym autorytet nauki (świeckiej) zbyteczny; im wystarcza powaga religii do zachowania etycznych przykazań tejże, ale mimo to porozumienie religii z nauką przynosi ulgę ich sumieniu i budzi szczere szczęście i zadowolenie. Można powiedzieć, że cały świat swobodniej odetchnął, gdy współczesna filozofia odświeżyła zapomnianą prawdę, że człowiek, którego życie duchowe zapoczątkowała religia, i teraz jej potrzebuje, — że ma prawo do religii (W. James, H. Bergson, Eucken).

W imię tego prawa napomina filozof niemiecki swój naród do wyzwolenia się z życia i powodzeń li zewnętrznych temi słowy: „Polityka, życie narodu i jego jednostek obecnie (w Niemczech) na zewnątrz się wylewają. Jeśli naród ma odzyskać to, co się objawiło jako zapowiedź jego posłannictwa, to musi wejść w siebie, cofnąć się w głąb swej duszy. Pragnienie uwnętrznienia życia *(Verinnerlichung des Lebens)* obudziło się u wszystkich narodów, ogarnia i przenika wszystkie dziedziny ich życia. I chociaż powierzchnia tego życia walką z religią zakłócona, to jednak tysiączne oznaki mówią nam, że religia odżywa i rośnie tęsknota ludzkości do tego, co tkwi w jego wnętrzu i ciągnie ku wieczności“ (Eucken). I tak widzimy, jako nauka nietylko dociera do prawd świeżych, nieznanych, wydobywając je na powierzchnię z głębi ducha ludzkiego, ale też odsłania i pielęgnuje prawdy już dawno ustalone, ale pyłem zapomnienia pokryte. Polska literatura polityczna, zaraz od pierwszego jej głosu, wytknęła polityce polskiej stały kierunek w duchu religijno-etycznym, a to na całe sześć wieków z okładem, wcześniej aniżeli w krajach ościennych, gdzie zresztą ta idea jeszcze nie dojrzała, lecz się dopiero poczęła w nędzy wojennej, tak że jeszcze nie wiadomo, czyli tam jest żywotną?

Zasadnicze ustalenie etyki politycznej i tejże zależności od religii będzie największym i najważniejszym zagadnieniem nauki polityki, w tej pracy na końcu poruszonem (22—26).

Dalszem głównem zagadnieniem nauki polityki jest jej stosunek do prawa. Próba jego zdeterminowania została wyżej usiłowana (18).

Trzeciem zasadniczem zagadnieniem tej nauki jest ujęcie istoty polityki, którego się niniejsza praca wyżej podjęła (10, 11, 12).

Pojęcie polityki tam przedstawione, w tem różni się od innych w obiegu będących, że za działanie polityczne uznaje tylko ruch społeczny, agitacyą lub dyplomacyą wywołany i zapoczątkowany w imię konkretnej idei, dla celu ściśle oznaczonego. Co się w danej sprawie działo, zanim się ten ruch rozpoczął albo po jego ustaleniu, to już nie jest polityką. Ona bowiem ani w przewodnich ideach ani w swoich celach w niczem się nie różni od funkcyonowania prawodawstwa i innych poczynań, podjętych w imię i dla dobra państwa i narodu. Wobec określeń, ofiarujących prawo i całe życie publiczne molochowi politycznemu na pożarcie, jest to niesłychane ograniczenie zakresu polityki i obcięcie obszaru jej nauki. Polski wybitny uczony i znakomity polityk przestrzega, że granic naukom nie wyznaczali logicy i metodologowie, lecz żywotność samej nauki i twórczość jej wykonawców. I tak np. metodologowie ciągle się starają o ścieśnienie zakresu naukowego ekonomii (polityki ekonomicznej), ale mimo to ona ciągle się rozszerza na badanie, różnorodnych objawów życia społecznego: prawnych, politycznych, obyczajowych, nawet religijnych, mających wpływ na życie ekonomiczne (Głąbiński). Wobec tej przestrogi, mającej znaczenie także dla innych gałęzi wiedzy, niech wystarczy to, co się już przedstawiło dla uzasadnienia tego ścieśniającego pojęcia wyżej, w odpowiednich wywodach (10 i n.) to podkreślając, że właśnie w skutek tego ograniczenia nietylkoby pojęcie naukowe istoty polityki zeszło się z tem, jak ją w życiu i praktyce rozumieją, ale też badanie i uwzględnienie owych „objawów życia społecznego“ nabierają szczególnej wagi i osobnego politycznego znaczenia, a to dla każdej akcyi politycznej, którą powinno poprzedzić dokładne rozważanie tego wszystkiego, co potrzebne dla wyboru idei przewodniej i dla oznaczenia konkretnego celu danej akcyi dyplomatycznej lub agitacyjnej. Te kwestye zatem, żywotne w polityce, nie będą z jej nauki wyłączone, chociażby się jej pojęcie w sposób zalecony skurczyło. Ale one, tak dla przyczyn, poprzednio przedstawionych, jakoteż i dla tej dalszej nie należą do określenia jej istoty, że co do pobudki i celu danej akcyi politycznej, w kwestyi trafnego ich obmyślenia i wyboru, nie same tylko względy polityczne rozstrzygają, lecz na równi z nimi lub przeważnie inne (prawne, ekonomiczne, obyczajowe, historyczne, socyologiczne i rozmaite inne, materyalne lub idealne) a niekiedy

też polityka niema obok nich głosu, lecz musi im uledz, a to dla uniknięcia kolizyi z prawem (19) lub z etyką (20). Następnie i to jeszcze trzeba uwzględnić, że one, w konsekwencyi, albo wcale nie podlegają ocenieniu według etyki politycznej, albo też w części tejże się usuwają. Gdzie zaś etyka polityczna nie sięga, tam też w życiu publicznem nie ma polityki. Odmiennie od prawa, polityka nigdy nie może być amoralną, bo nie mając egzekucyi, stoi tylko swą siłą moralną. Zresztą mimo godziwej pobudki i chwalebnego celu, może być dana akcya polityczna zdrożna, jeżeli jest prowadzona metodą przewrotną, to znaczy naganną agitacyą lub dyplomacyą. Pomyłka w motywie i celu politycznem, przy dobrej wierze, jeszcze jej nie czyni niemoralną, chociaż ona wtedy równie szkodliwa jak zawiniona, — jak polityka rozmyślnie albo przez lekkomyślność wadliwa, a może nawet jest więcej szkodliwa. Partactwo polityczne, poczciwie i z patryotyzmu uprawiane, zwykle się powtarza w znękanem, i dla tego pobłażliwem społeczeństwie, albo w takiem, które jeszcze nie nabrało pełnej ochoty do udziału w czynnem życiu politycznem, mimo, że posiada wysoko rozwiniętą kulturę, co między innemi, także z tej przyczyny wynika, że pod rządami biurokratycznie-opiekuńczymi pogrążyło się w politycznem wygodnictwie. W Prusiech coraz większe odzywają się narzekania na niezdarność polityczną społeczeństwa, które przez to pada ofiarą politycznego dyletantyzmu. Jeżeli społeczeństwo na tę polityczną fuszerkę nie reaguje tak silnie, że to jej uprawiacze dotkliwie muszą odczuć, to zawsze się znajdą śmiałkowie, co się na flukta polityki puszczają; ona zawsze jest syreną, która nęci i uwodzi. Największymi zaś szkodnikami na niwie politycznej bywają ci przezacni, którzy udrapowani bądź świetnością rodu, bądź otoczeni aureolą rzetelnych zasług, nieskazitelnego życia i charakteru, i przejęci prawdziwą miłością ojczyzny, z własnego popędu lub przez innych wysuwani, swoją powagą, powszechnie uznaną, w najlepszej wierze pokrywają błędy i zdrożności tych, którym naiwnie zaufali, albo jako swych przyjaciół politycznych raz na zawsze obrali. Wtedy może się narodowi bezdomnemu łatwo zdarzyć, że polityka jemu obca, ale rządowym krótkowidzom pożądana, otrzymuje niejako sankcyę od tych powag narodowych i staje się miarodajną dla rządzących. Co z tego może wyniknąć, jakie szkody i niepewności, na to klasycznym przykła-

dem przesilenie w wiedeńskiem Kole polskiem, w maju 1917 r. Nauka może też wiele zdziałać dla odwrócenia niebezpieczeństwa, jakie grożą narodowi od owych chochołów, gdy przedmiotowo, nie ubliżając nikomu, przekona, że jak mawiał Fr. Smolka, polityka nie jest ani bigosem ani... słomą. Biorąc materyał z własnych przeżyć narodu, ma nauka sposób łatwiejszy do wpajania zdrowych pojęć w szerokie masy, bez których politykowanie dziś niemożebne; popularna nauka polityki powinna duszę ludu nastrajać na prawdziwą nutę i tak ją oświecić, ażeby pseudomądrość słowa nie stawała się poznaniem rzeczy, ani partyjna ciasnota polityczną kulturą, a niepowołani aktorzy dramatu politycznego poznikali z jej widowni.

Nauka nie znosi dogmatów, ale jak wszystkie nauki przyrodnicze i duchowe, posługuje się hipotezami, które nie mieszczą się w naszem doświadczeniu, lecz stanowią subjektywne dodatki, wnoszone przez nas do nauki; ich znaczenie sprowadza się do roli, jaką spełniają instrumenty w działaniu praktycznem (Biegański).

Ale w życiu politycznem pokutują wskazania, tradycyą historyczną uświęcone lub z fałszerstwa zrodzone, które mają znaczenie dogmatów niewzruszonych, — których się nawet możni działacze trzymają, zwłaszcza w chwilach zwycięskiego upojenia,... ot... jak pijany płotu.

I dziś jeszcze nie brak takich pseudo-dogmatycznych wskazań, które w chwilach gorących podnieconemu społeczeństwu jako hasła rzucone, wprost je oszałamiają, jak np. doktryna Monroëgo, idea angielskiego panowania na morzach, „*Drang nach Osten*“, Rosya dla Rosyan! — pęd Rosyi ku Carogrodowi, z mocy rzekomego testamentu Piotra Wielkiego, który czasu obecnej wojny, w tym celu spowodował dziewiątą wyprawę, nadaremną a krwawą (t. zw. „na Gallipoli“) i t. p. Ile złego wyrządziły te wierzenia swoim wyznawcom i światu, pokazuje się, gdy pośród kataklizmów, do których się przyczyniły, następuje nagłe otrzeźwienie, jakby przebudzenie po nocy złowrogich snów... Nauka powinna to wykazać, które z nich są przestarzałe i bezpłodne lub są tylko senną marą, i tym sposobem niszczyć wiarę w ich moc czarodziejską i zbawczą; nauka wtedy toruje drogę świeżym prądom i przygotowuje umysły na zmianę kursu. Wogóle zaś jednem z najważniej-

szych i najtrudniejszych zadań nauki polityki jest tłumienie politykomanii.

Na niwie polityki, zwłaszcza gdy ugoruje, prosperują puste hasła, niby chwasty i kąkole, pochodzące z posiewu przypadkowego lub umyślnego, — od siewców niepowołanych, politykujących w dobrej wierze, ale nieszczęśliwie, albo od agitatorów demagogicznych, karyerowiczów, od politycznych kuglarzy i błaznów, którzy zręcznemi sztuczkami bawią i za sobą ciągną tłumy; z nich najgorszymi są polityczni gracze i szulerzy, ogrywający ziomków i ojczyznę. Wybitny publicysta niemiecki, o francuskiem nazwisku, p. Beaulieu, tę trafną wypowiedział uwagę, że zawsze to jest wielkiem złem, gdy społeczeństwo, jak teraz niemieckie, dostaje się pod panowanie pewnej formułki, ubranej wyrazami wielkiej treści, która przy bliższej analizie okazuje się być hasłem bez treści, głupiem i szkodliwem. Otóż, od pierwszej chwili wybuchu wojny, hasłem takiem jest wyraz „Patryotyzm“. Atoli w tym ważkim wyrazie ukrywa się patryotyzm, występujący z nietolerancyą nowej wiary i religii państwowej, który piętnuje każdego jako zdrajcę, kto nie okazuje zapału do wojny.

Nauka ma tu mniej dostojne, ale niemniej doniosłe zadanie wyplenienia i palenia pyżu na politycznych ścierniskach, i przekonania uwiedzionych i nieświadomych, że to tylko burzan idzie z dymem.

Oto niektóre z szczegółowych zadań nauki polityki, wysnute z owych trzech wielkich jej zagadnień: czem polityka jest? jaki jej stosunek do prawa? a w końcu: jaka jej zależność od etyki? (zagadnienia: pojęcia, stosunku do prawa i do etyki).

Dla wodza w polityce nie jest nauka o niej źródłem poznania tego, co należy w niej przedsiębrać lub zaniechać. Ale ona mu przypomni, co się w życiu politycznem, w podobnych warunkach, zdarzyło i zdarzyć może i czego się w polityce robić nie godzi, a mianowicie też w danej akcyi politycznej, którą twórczy umysł polityczny poddał rozumowi do oceny, a ten ją przedsiębrać postanowił. Jeżeli nadto głos jej nie jest głosem, wołającego na puszczy, — jeśli ona ziarna swojego nie rzuca jakby grochu o ścianę, to usuwając z drogi politycznej uprzedzenia, błędy i inne przeszkody, a szkodników z niej wypłaszając, oddaje pracy politycznej przysługi nieocenione i wielkie jej przynosi ułatwienie. I kto wie, czyli polityka czynna, w obecnym wojennym

zamęcie, a po wojnie, może w warunkach jeszcze trudniejszych, podoła swemu zadaniu bez pomocy ze strony nauki i w zaciemnieniu powojennem rozpozna swoje cele bez jej światła?

Ale pomijając te aktualne trudności wątpić trzeba, ażali w epoce powszechnego zumiejętnienia czyli opierania wszystkiego o naukę, jedna tylko polityka bez jej karmy obejśćby się mogła, skoro obecnie nawet rzemiosło, nie da się bez niej pomyśleć (Morley).

Trudno dzisiaj pomyśleć, ażeby wobec trudnosci, mnożących się z każdym dniem, mogło się udać dzieło przebudowy świata, i żeby mogło przyjść do skutku międzynarodowe porozumienie w tym celu, bez doskonałej, umiejętnie prowadzonej polityki. Dawno już minęły czasy, w których można było powtórzyć za Oxenstjerną, że rządy świata sprawują się nie wielką mądrością.

Atoli ciężka nas przygniata wątpliwość, ażali pośród tej wojennej anarchii przyda się na co apelacya do trybunału nauki? czyli podobna teraz „cichem mędrca okiem“ rozeznać, co w obecnym chaosie jest prawdą a co fałszem? Niemiecki uczony zanosi skargę o to, że teraz, pod przekleństwem, które huk armat ciska na ludzkość, rzuca się z mownicy i na papier aforyzmy, komunały, przeczucia i zgadywania, że wychodzą dzieła udające filozofię, które szerzą surowość bezlitosną i samolubstwo zamiast naukowego uświadomienia (Dr. Gomperz).

Nauka powinna zagrzewać politykę do pracy około poprawy praw i urządzeń publicznych, budzić ją do pracy kulturalnej, aby wydała owoce, które zaspokoją pragnienie ducha, które na razie słabo odczuwamy, ale po wojnie, będzie nas paliło. Wtedy nauka polityki będzie konieczną spółdziałaczką w wielkich usiłowaniach ku poprawie ludzi i ludów, tychże bytu i przeznaczeń (Morley). A gdy się w tej strasznej wojnie ważą losy narodów, to z pracą naukową nie można czekać na jej koniec, a zwłaszcza w Polsce, której gotujące się zmartwychwstanie jest zagadnieniem politycznem, najtrudniejszem, pełnem niezbadanych tajemnic, — którego rozwiązanie leży w interesie nie tylko jednego narodu, ale całego świata. Zanim dyplomaci zasiędą do zielonego stołu, albo, co jest pewniejsze, narodowe przedstawicielstwa jawnie nad pokojem obradować zaczną, powinna też nauka powiedzieć, dlaczego dziś Europa zalana czerwonym potopem? pierwszy zaś głos nauka polska zabrać powinna, bo rozbiór Polski główną tego

przyczyną. Niechże nauka, śród wojennej wrzawy, myśli i tworzy jakby w pokoju, ażeby od siebie mogła wskazać, co ma nastąpić po wojnie, i wypowiedzieć to z powagą i siłą przekonywującą, któraby przeraziła rządy i ludy i dała im opamiętanie. Wszystko za tem przemawia, że nauka polska byłaby w tem przedsięwzięciu wolna od niepożądanych zboczeń. W Kongresówce i Poznańskiem nigdy nie było głębszych nieporozumień o wszechnarodową oryentacyę. W Galicyi ona się sformowała w uchwale wiedeńskiego Koła polskiego z dnia 16. maja 1917 r., którą zebrania poselskie w Zielone Święta tegoż roku, w Krakowie, zatwierdziły całkowicie, w obecności reprezentantów Królestwa i Poznańskiego, przy entuzyastycznym wtórze zebranych tłumów. I mamy oto przykład na to, co wyżej przytoczono, że z chłodnej kalkulacyi nie powstaje idea polityczna, ale rodzi się w zapale. Nauka nie jest jej źródłem, ale ma na nią sprawdziany. Ze wszystkich narodów, jakie były i jeszcze są na kuli ziemskiej, naród nasz najcięższe i dotąd niebywałe przechodzi przesilenia, kulturalne i polityczne. Ale myśl jego pracuje dalej, trzeźwo i spokojnie; wir polityczny ciszy jej pracowni nie mąci. W naszem bezpośredniem sąsiedztwie skarżą się uczciwi patryoci, powtarzając bezwiednie słowa Lubomirskiego, że w ich społeczeństwie polityczna kultura „jest farsą do złożenia tylko i zakrywania defektów i niecnoty". U nas inaczej! Ponad rozdźwięki, które słuch narodu od początku raziły, a w historyczne Zielone Święta roku 1917 chyba na zawsze zamilkły, górują piękne i potężne akordy, jak te: „wyłączając etykę z polityki, wykreśla się z niej pojęcie krzywdy",... „Życie prywatne i publiczne, to jakby spojone naczynia; gdy się do jednego z nich rzuci truciznę, to jad podchodzi w drugiem do tego samego poziomu" (Z. Noskowski w *„Głosie Narodu"*).

Po wojnie tedy przypadną polityce wielkie zadania, na które ją nauka, czasu wojennego, przygotować powinna. Długie lata będzie ona codziennym chlebem myślącego i bezmyślnie szarpiącego się obywatelstwa. Czas najwyższy, ażeby w tej dobie historycznego przełomu, jakiego dotąd nie było, wywołanego bądź nieumiejętną bądź zbrodniczą polityką, nauka ją oczyściła z niemoralnej skazy i poświęciła dla wielkiego posłannictwa.

Wszystkie nauki pomagają polityce, ale jej najbliższemi są socyologia i historya. Wyszliśmy z założenia, że jednostki ro-

bią politykę (7) swoją wolną wolą i że dlatego socyologiczne prawo przyczynowości nie wystarcza do zrozumienia jej zjawisk. Jednakowoż, o ile polityka musi i chce działać na masy i niemi poruszać, o tyle musi nauka polityki uwzględnić socyologiczne prawa o duchu i ruchu ludzkich zbiorowisk. Wiadomo, że człowiek kulturalny jest nie tylko żyjątkiem politycznem (*„zoon politykon“* Arystotelesa), ale też historycznem (H. Poincaré). Historya regestruje zdarzenia zgodnie z prawdą, możebną do osiągnięcia, które potem polityka zestawia i swoimi promieniami oświetla (Seeley).

Wszakże mówimy o historyi politycznej w odróżnieniu od historyi kultury, literatury, handlu i t. d.

Historya na kanwie politycznej haftowana, albo też polityka na kanwie historycznej, nie tylko są potrzebne dla naukowej syntezy, ale mają ogromne znaczenie w życiu narodu, zwłaszcza wtedy, gdy naród, byt polityczny utraciwszy, ma być polityką dźwignięty z upadku i w tym celu zbolały duch jego pocieszony i pokrzepiony nadziejną otuchą, która mu pozwoli przecierpieć niedolę i niewolę. Taką pożądaną pociechę i otuchę przyniosło nam epokowe dzieło Tad. Korzona p. t. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“. Z niego się naród dowiedział, jakie były koleje, jakie zasługi i braki wielkiej roboty odnowicielskiej, podjętej... przez Sejm czteroletni. Wynik ostateczny tych poszukiwań, tych zupełnych pod wieloma względami odkryć, przychodzących w samą porę... dla zrównoważenia i sprostowania odpowiednich... badań..., nazbyt ujemnych..., polegał na przywróceniu narodowi samowiedzy jego moralno-dziejowego równouprawnienia śród rodziny szczęśliwszych, lecz nie cnotliwszych bynajmniej od siebie ludów europejskich, a tem samem na podniesieniu jego moralno-politycznej na przyszłość otuchy. — Dokonało się... zadziwiające przeobrażenie, przebudowanie, pewne przetworzenie Polski... Z dawnej odwiecznej budowy narodowej pozostały nietknięte jej kamienie węgielne: poszanowanie osoby, własności, wolności obywatelskiej, obyczaj samorządu i miano Rzeczypospolitej. Społeczeństwo wyszło z analizy oczyszczone z wielu zarzutów... Stwierdza się też jako niezwykłe w dziejach zjawisko, że... śród udręczeń ciała i ducha..., jakich nie zna historya powszechna od epoki Faraonów egipskich, zdobywców assyryjskich

i najstraszniejszych cezarów rzymskich, Polacy w XIX. wieku ukazywali się czynnymi na wszystkich polach śród narodów żywych, wołali i wołają: „jesteśmy!“ (Szymon Askenazy). Dzieło p. Korzona nie było aktem politycznym, — nie było napisane z zamiarem wywołania konkretnego skutku politycznego, ale było zdarzeniem politycznem, w skutkach swoich niezwykłej doniosłości, tak ważnej i wielkiej, że na żaden sposób nie możemy sobie wyobrazić, jakby to z nami było po utracie niepodległości, gdybyśmy tego dzieła nie mieli. Już po wybuchu wojny światowej, w chwili niepewnością strasznej, spełniło się drugie podobne zdarzenie polityczne: wyszła książka Oswalda Balzera p. t. „Z zagadnień ustrojowych Polski“ (w r. 1915). Na początku wojny, dotknięci lekceważeniem, jakie nam wówczas wrogowie brutalnie okazywali, byliśmy skłonni do poniżenia siebie samych —, oraz ta myśl gnębiła umysły, że się z nami liczyć nie będą, bośmy słabi i upadli jako winowajcy. Do wyzwolenia z tego uczucia upokorzenia i zwątpienia przyczyniła się książka p. B.; dreszcz ocknienia się ze snu przykrego przeszedł po ciele narodu, który znów objawił swą siłę i znaczenie wołaniem: jesteśmy! Sami nie bez winy, żądamy naprawy krzywdy nam wyrządzonej, bo nie byliśmy nigdy krzywdzicielami innych!

Z tych przykładów i uwag wynika ścisła łączność polityki z historyą. Nauka polityki bierze z historyi wielką część swego materyału. Obserwacye życia i rozwoju narodu w przeszłości są w historyi zapisane; nauka polityki zajmuje się badaniem i ocenianiem doniosłości, jaką objawy życia indywidualnego i zbiorowego mają dla narodu albo państwa. Przyjęliśmy jako normę, że należy odróżnić państwo od narodu (4—5). Otóż dawniejsi i tegoczesni pisarze polityczni, odnoszący politykę li do państwa, dochodzą n. p. do wniosku, że teatr Szekspira lub odkrycia Newtona były ważnemi tylko dla narodu, a więc nie miały dla państwa i polityki takiego znaczenia, jak n. p. spisek Tenwicka (Seeley). Według widzenia rzeczy, w tej pracy zachowanego, należy przyjąć, że dana akcya lub jakieś zdarzenie są zaszłościami politycznemi, jeżeli mają skutki polityczne dla państwa i narodu, albo tylko dla narodu, a mianowicie osobne dla narodu, które państwa nie dotykają, bez względu na to, czyli naród posiada własne państwo lub go nie ma. Angielski dwuwiersz określa ścisły zespół tych dwóch nauk,

historyi i polityki, słowy: historya bez nauki polityki jest bezowocną, nauka polityki bez historyi nie ma wytkniętej drogi *(History without political science has no fruit, — Political science without historic has no root).*

Piękna i trafna prawda, w Anglii rozpowszechniona, przyrównywa historyę do łańcucha gór, oblanych wodami, gdy się je ogląda z perspektywy ptasiej; tylko ptasie oko, z tej wysokości patrząc, może poznać, jak te góry wynurzyły się z toni, wysadzone siłami wulkanicznemi, a potem: czyli i jak się ze sobą łączą, czyli między niemi są jakie odstępy albo w ich rzędzie jakie załamania? nie widzi tego żegłarz, między niemi płynący; tym żeglarzem jest polityk... (Morley).

Ażeby jednak nauka polityki przyniosła życiu publicznemu spodziewane korzyści, musi trzymać się metody, zgodnej z duchem czasu, musi być rzetelną, a nadto będzie naszemu narodowi całkowicie przydatną, jeżeli będzie swojską, rodzimą, polską.

Nauka w XIX. wieku zwróciła się ku idealizmowi (Kanta). To idealistyczne pojęcie zadania nauki dyktuje też nauce polityki odpowiednią metodę. Życie i zjawiska polityczne tworzy ludzka wola, a więc nie ma tam materyalistycznego determinizmu. Można wprawdzie daną sytuacyę polityczną uznać jako rzeczywisty skutek wskazanej przyczyny, ale bez uwzględnienia pierwiastku woli, mniej lub więcej niezależnej, nie zdobędzie nauka miary do ocenienia wartości zjawisk politycznych (Calker). Atoli mimo ten zwrot nauki ku idealizmowi, nie należy zapominać o tem, że ideały są teraz inne od tych, które polegały na dawnym realizmie i indywidualizmie. Nasz sposób myślenia jest historyczno-społeczny. Przez to, że się zjawiska spółczesne łączy z przeszłemi, zyskuje twórczość myśli naukowej szerszą podstawę; przez to zaś, że się osobnika zwraca ku społeczności i zastanawia nad polepszeniem warunków spółżycia (w państwie, kościele i t. d.), zyskują na sile oboje: społeczeństwo i osobnik (Morley).

Z innej przyczyny aniżeli z powodu nieprzydatności metody socyologicznej, pomijającej pierwiastek wolnej woli, nie można w polityce stosować metody nauk prawnych, mimo, że w życiu prawnem wola człowieka jest głównym czynnikiem a prawo z polityką ciągle się styka. Ale mimo to należy się wystrzegać w po-

lityce metody nauki prawa, która dąży do steryotypowych myśli, wciskając je do ustalonych kategoryj. Otóż nauka polityki, należycie uprawiana, otwiera te kategorye, uwalnia je z więzów nauki prawnej, poczem je bada i ocenia, czyli i jak one odpowiadają spółczesnym zdarzeniom i zjawiskom. Nauka polityki obszerniejsza od prawnej; ona wskazuje, co należy przedsiębrać, ażeby pożądany stan prawny zaistniał, albo istniejący się utrzymał, gdy to jest pożądane, albo w końcu, po jego zgaśnięciu, jak doń powrócić można lub zastąpić go innym (Morley).

Rzetelną ma być wszelka nauka, głosić powinna tylko to, co uzna za prawdę, bezstronnie, bez słabości, z odwagą i powagą. „Filozofia, która zamiast sądzić tylko służy, wyzbyła się swej istoty naukowej i stała się narzędziem bezprawia. Co do filozofii dawno już na to zwrócono uwagę, że ona... tryumfuje łatwo nad złem minionem i nad złem przyszłem; lecz zło obecne nad nią tryumfuje“ (La Rochefoucauld). Zbyteczna długo i szeroko nad tem się rozwodzić, że o wiele więcej złych potęg po to czyha na znieprawnienie nauki polityki, ażeby ludzie, jej powagą ujęci, zapomnieli „co obietnica, co szkoda, co pożytek, co cnota“ (Lubomirski). Ale nie tylko złe potęgi są dla niej niebezpieczne, albowiem, między innemi, prowadzą ją na bezdroża cenne przymioty i cnoty obywatelskie: karność obywatelska, przywiązanie do dynastyi, szczery i gorący patryotysm, dobra wiara i zwodnicze hasła i t. p. Ale najczęściej to, co Lubomirski przezwał „wyuczonym fałszem,... farsą do złocenia a zakrywania defektów i niecnoty,... pozorną ozdobą“, uznaje się w szerokim ogóle za rzetelną naukę, jeśli w nim jeszcze nie przestała pokutować doktryna moralnego nihilizmu w polityce, albo jeżeli społeczność, dla braku wyższej naukowej kultury, nie wykształciła w kierujących osobnikach należytego intuicyjnego odczuwania fałszu i w tym stopniu czułej nań wrażliwości, że się za jego dotknięciem dusza jak listek mimozy w trąbkę zwija. Nazwaćby to można intuicyjnym krytycyzmem, jakie posiadają rasy łacińskie i anglo-saska.

Polityka jest zjawiskiem w społecznem życiu człowieka, które zawsze jest narodowem; każdy człowiek ma w sobie charakter swojego narodu obok osobistego; dlatego n. p. filozofia buduje się odmiennie w każdym narodzie (Trentowski). Polska nauka polityki powinna być o tyle odmienna, o ile polityka państw nieza-

leżnych istotnie różnić się musi od polityki narodu, który ma własne państwo dopiero uzyskać i urządzić. Polski mąż stanu musi prowadzić politykę z większym rozumem, rozwagą, *patryotyzmem* i stanowczością, aniżeli Niemiec lub Anglik; w jego polityce musi być więcej siły i pomysłów twórczych (Milewski). Zatem jednak nie idzie, żeby nauka *polska*, przedstawiając politykę jako służbę narodową, miała zapomnieć o wierności wobec ludzkości i o służbie ludzkiej, a więc o tem, że każdy naród ma osobny udział w powszechnej cywilizacyi, i co do niej, wobec wszystkich innych narodów jest zadłużony (Montesquieu).

Jeżeliby się nauce kiedy udało ustalić system etyki politycznej i tak spopularyzować jej zasady, żeby się stały *powszechną* własnością i wiarą, toby zniknęła *obojętność* tej części społeczeństwa na sprawy polityczne, która czuje, że na *chorą* politykę nie ma innego lekarstwa jak tylko *etyka*, ale wobec tej *oczywistej* prawdy, że polityka *nie* może być cnotliwą, brak jej uświadomienia co do tego, w jakiej dawce ma być etyka polityce zadana? Człowiek sumienny i ostrożny nie bierze się do rzeczy, jemu nieznanej. Tem się tłumaczy, dlaczego najlepsi w narodzie stronią od polityki, chociaż *patryotyzm* woła... od dawien dawna, od pierwszego brzasku literatury politycznej, bardzo obfitej. Już *Kadłubek* († 1223) woła: „co się z miłości ku ojczyźnie podejmie, miłością jest, nie szałem, walecznością, nie zuchwalstwem; mocną bowiem jak *śmierć* jest miłość“... Nie mówiąc o literaturze porozbiorowej, to literatura polityczna Polski *niepodległej*, — ogromna większość pisarzy staropolskich (a poczet ich liczny i świetny) — nie sprzeniewierzyła się w pismach swoich ani świętej nauce *Jezusa Chrystusa*, ani świętej miłości kochanej ojczyzny (Ign. Chrzanowski).

Tylko wrodzonemu talentowi twórczemu nauka polityki może dopomódz do wykształcenia się na umysł kierowniczy. Atoli podobnie jak nawet w tej jedynej sztuce *wyzwolonej*, dramatycznej, dla obsadzenia teatrów, potrzebna jest odpowiednia ilość wykonawców, umiejących mówić i ruszać się na scenie, choćby trudno było o takich, co posiadają dar dramatycznego postaciowania, — jak potrzeba państwu licznego zastępu wykształconych *prawników*, bez względu na to, czy każdy z nich jest obda-

rzony zdolnością prawnego osądu *(judicium)*, — tak też państwu praworządnemu, gdzie nie ma gwałtu i prześladowania, lecz się rządzi i przekonywaniem i nawracaniem, dla należytego funkcyonowania systemu reprezentacyjnego, — dla obsadzenia parlamentów i t. d. — pożądane jest osobne wyszkolenie polityczne u pewnej liczby osobników (kandydatów na posłów i innych), choćby nie było tylu prawdziwych talentów politycznych, ilu potrzeba. Owa osobna nauka polityki może im dać niezawodne wskazówki, jak się należy poruszać i czego unikać na arenie politycznej. Każda zresztą nauka, dlatego że jest służką prawdy, przyczynia się do wyrobienia odpowiedniego rzetelnego charakteru tem, że budzi świadomość tego, co daje rzetelne powodzenie w odnośnym zawodzie. Prawdziwa nauka prawna tak mocno utrwala w duszy jej adepta nią przejętego zmysł ścisłości i sumienności, że one się niejako stają drugą jego naturą; nauki polityki byłoby przeznaczeniem tak usposobić umysły działaczy życia publicznego, żeby niejako automatycznie zachowywali wierność narodowi i jego politycznym zamiarom, a w życiu publicznem ze wstrętem naturalnym odrzucali to, co może splamić charakter własny i dobre imię narodu.

I oto mamy jeszcze jedno zadanie nauki polityki; ona ma być podwaliną i duszą politycznego wychowania, ażeby w życiu publicznem nie bruździli bezduszni rutyniści i dyletanci.

Pióro wypada z ręki na myśl o mnogich i wielkich trudnościach w naukowem przedsięwzięciu napisania przydatnego politycznego *vademecum*, co na razie nie da się całkowicie wykonać. Ale odwagi dodaje sentencya: *„quand vous traitez un sujet, il n'est pas necessair de l'epuiser, — il suffit de faire penser“* (Montesquieu).

A. Balasits.

(C. d. n.)

Z działalności cenzury rosyjskiej w Polsce.

(Wyjątki z aktów sekretnych gubernatora rosyjskiego w Lublinie z lat 30-tych ubiegłego wieku).

Odwrót armii rosyjskich z granic Królestwa polskiego zaznaczył się krwawo; pożoga i rabunek znaczyły ślady cofających się wojsk. Tylko szczęśliwym trafem losu pozostały tu i ówdzie grozą wojny w większej mierze nietknięte oazy. Tysiące zabytków dotyczących kultury polskiej znikło nazawsze, tysiące wywieziono poza granice Polski; strata to tem większa, że ani w części nie były opisane i zinwentaryzowane. By położyć kres częścią z nieświadomości, częścią ze złośliwości płynącemu zniszczeniu i wywożeniu naszych zabytków, zwróciła się Akademia Umiejętności w Krakowie do generał-gubernatorstwa w Lublinie o opiekę i ratunek przed zupełną lub powolną zagładą naszych zabytków. Skutkiem starań Akademii Umiejętności wyszło kilka zarządzeń zabraniających niszczyć lub wywozić zabytki mające wartość historyczną lub tyczące się historyi sztuki, a nadto ustanowiono przy generał-gubernatorstwie w Lublinie dwóch konserwatorów dla zabytków z zakresu historyi sztuki i dla archiwów i bibliotek. Pole działania dla konserwatorów jest ogromne, gdyż wiele wojną nadwyrężonych budowli gwałtownie potrzebuje choćby tymczasowego zabezpieczenia, bardzo wiele zbiorów bibliotecznych, a zwłaszcza archiwalnych, potrzebuje opieki.

A w archiwach rządowych rosyjskich, częściowo tylko wywiezionych, znajdują się nadzwyczaj ważne materyały do dziejów naszych z czasów najnowszych; w archiwach tych niejedna karta naszej historyi może znaleźć ciekawe oświetlenie, niejeden szczegół dotyczący życia narodowego pod rządem rosyjskim może być wydobyty na jaw. W pierwszym rzędzie sekretne akta guberna-

torów rosyjskich bardzo wiele mogą rzucić światła na czasy stuletniej przeszło niewoli. Wprawdzie nie pora i warunki po temu, by ogłaszać w większym zakresie chociażby najciekawsze działy z archiwów rosyjskich, gdyż w wielu miastach gubernialnych dużo trzeba będzie jeszcze poświęcić pracy na uporządkowanie pomieszanych skutkiem przejść wojennych aktów — to jednak nie będzie bez korzyści ogłosić chociaż fragmentarycznie kilka ciekawszych szczegółów z niedalekiej przeszłości.

Podajemy więc garść aktów z archiwum gubernialnego w Lublinie. Archiwum to spalone częściowo w czasie pożaru około roku 1830, zostało jako tako uporządkowane w latach następnych; później ulegało rewizyi i porządkowaniu, najczęściej w ten sposób, że całą masę przestarzałych i wysortowanych aktów sprzedawano na makulaturę. Większa taka sprzedaż starych aktów nastąpiła w latach 1866/7 (przeszło 300 pudów po 1 rubel 68 kop. za pud), a uzyskane w ten sposób pieniądze miały iść na sprawienie mebli w kancelaryach gubernatorskich. [1]) Szczegółowe wykazy aktów przeznaczonych na makulaturę dają nam poznać, które działy były niszczone. Główną pozycyę tomów na sprzedaż stanowią księgi spisu ludności, tu i ówdzie przemycane akta o charakterze politycznym. Aktom tym groziło także inne niebezpieczeństwo, ponieważ wiele osób politycznie skompromitowanych starało się swoje akta wydostać i usunąć przy pomocy przekupstwa. Stąd pojawiają się ostre nakazy, by akta takie były przechowywane specyalnie pod osobistą opieką wysokiego urzędnika. Mimo tych warunków dochowało się kilkanaście na razie odszukanych fascykułów aktów sekretnych, sięgających po r. 1832, — dochowały się bardzo ważne akta do „zaburzeń krajowych“ w r. 1846, 1848, 1863, — które stanowić będą bezwątpienia kopalnię dla historyków. Nie siląc się na podkreślanie jak wielką wartość posiadają te akta, jak ułatwiają nam śledzenie środków panowania rosyjskiego w gubernii lubelskiej — ogłaszamy kilka ciekawych dokumentów, odnoszących się do ścigania dzieł, pieśni, nut etc. patryotycznych w 1834.

Po upadku powstania listopadowego rzesze emigrantów tęskniąc za krajem knuły coraz to nowe plany wyzwolenia Ojczyzny i sta-

---

[1]) Szczegóły zaczerpnięte z fascykułu: Uporządkowanie archiwum.

rały się oddziaływać na kraj przez wysyłanie emisaryuszy, lub przez rozszerzanie dzieł i broszurek w duchu patryotycznym.

Rząd rosyjski postanowił zgnieść propagandę w zarodku, jaknajsurowszymi środkami, przy pomocy ścisłego policyjnego nadzoru. Jakie i jakiemi sposobami tropiono książki w gubernii lubelskiej, poznać możemy przytaczając akta sekretne „wydziału służby publicznej“ za rok 1834. Dokładny tytuł tego fascykułu brzmi: „Acta specialia tyczące się przedmiotów sekretnych wydziału służby ogólnej. Rok 1834. Vol. II-gi“. Akta te, dotychczas nieznane, przytaczamy w całości, tu i ówdzie tylko skracając je, dla uniknięcia powtarzań. Grupujemy je około pewnych spraw, a nie według porządku numeracyjnego, który jednak dla oryentacyi w niepaginowanym fascykule zawsze przy każdym akcie podajemy, w ten sposób, że najpierw podajemy akta dotyczące dzieł Mickiewicza, Mochnackiego, Hoffmanowej a następnie odnoszące się do pomniejszych broszur, pieśni etc. a w końcu do ogólnej rewizyi księgarń, drukarń i kramów za wszelkimi niedozwolonemi lub podejrzanemi drukami. Charakterystyczną czasami pisownię pozostawiamy niezmienioną.

I. Mickiewicz.

I.

Akt Nr. 103.

Nr. 170. Dyrektor główny prezydujący w komisyi spraw wewnętrznych duchownych i oświecenia publicznego. — Do JW. Prezesa Komisyi województwa lubelskiego.

Znany poeta polski Mickiewicz wydał niedawno nowe w buntowniczym duchu poema pod tytułem „Pan Tadeusz (Tadeus)“ w zamiarze puszczenia w cyrkulacyę pomiędzy mieszkańców Królestwa polskiego i Galicyi.

Dzieło to przełożone na język niemiecki w Lipsku przez Dr. Spaciera, ma być drukowane w Sztudgardzie przez księgarza Kotta.

Aby więc wyżej wspomniane poema zbyt szkodliwy mogące wywierać wpływ na umysły mieszkańców Królestwa i zakłócać ich spokojność, niewcisnęło się do kraju jakąkolwiek drogą, polecam JWu Prezesowi zwrócić szczególniejszą na nie baczność i władzom podrzędnym wydać stosowne w tym przedmiocie rozkazy. Gdyby zaś takowe dzieło u kogokolwiek to w księgarniach bądź u osób

prywatnych zostało dostrzeżonem ma JWny Prezes natychmiast one odebrać i mnie przedstawić.

Warszawa, dnia 9/14 Sierpnia 1834 r.

Generał-lejtnant: *E. Gołowin.*

Prezes komisyi województwa lubelskiego wysyła następnie do podwładnych sobie urzędów prawie dosłowny, pod datą 19 sierpnia 1834 r. L. 103, okólnik, na który przychodzą negatywne odpowiedzi.

Akt Nr. 115.

Nr. 256. Lublin, dnia 1 września 1834 r.

Do Jaśnie wielmożnego radzcy stanu prezesa komisyi województwa lubelskiego — prezydent miasta wojewódzkiego Lublina.

Wskutek reskryptu jaśnie wielmożnego radzcy stanu prezesa komisyi województwa lubelskiego z dnia 19 sierpnia r. b Nr. 103, prezydent ma honor niniejszem po dopełnieniu ścisłej rewizyi w księgarniach u pp. Strajbla i Szczepańskiego, zaraportować, iż dzieło poety polskiego Mickiewicza pod tytułem „Pan Tadeusz" (Tadeus) napisane a na język niemiecki przez doktora Spaziera w Lipsku przełożone i w Sztudgardzie przez księgarza Kotta wydrukowane w mieście Lublinie dotąd nie znajduje się i aby nadal pod żadnym pozorem wprowadzone nie było, prezydent od obydwu księgarzy odebrał na piśmie deklaracye zrzekające się, które ma honor jaśnie wielmożnemu radzcy stanu prezesowi do dalszego użytku przedstawić. *Kossakowski.*

Dołączono dwie deklaracye Streibla i Szczepańskiego, prawie jednakowo brzmiące, na urzędowym papierze stemplowym za 10 groszy, — stąd tylko jedną z nich przytaczamy.

Brzmi ona:

DEKLARACYA,

Mocą której, ja niżej podpisany zeznaję, iż dzieła przez Mickiewicza, poetę polskiego pod tytułem „Pan Tadeusz" (Tadeus) wydanego a na język niemiecki w Lipsku przez Dra Spaziera przetłomaczonego, które miało być drukowane w Sztudgardzie w księgarni Kotta w całej mojej księgarni nigdy nie miałem, nie mam ani też pod żadnym pozorem nabywać go od nikogo nie będę. — W razie zaś gdybym wiedział, że takowe dzieło kto ma, obowią-

zuję się naiychmiast władzy miejscowej donieść, — którą to moją deklaracyę własnoręcznie podpisuję.

W Lublinie, dnia 1 września 1834 r.

Stanisław S. Streibel, księgarz.

Nr. 139. Hrubieszów, dn. 23 września 1833, przysłano odpowiedź na reskrypt z dnia 19 sierpnia b. r. Nr. 103, o niewyśledzeniu „Pana Tadeusza" Mickiewicza w obwodzie, z dołączeniem bardzo ciekawego okólnika sekretnego i całego postępowania śledzenia.

Okólnik ten to powtórzenie reskryptu, z podpisem Jasińskiego w zastępstwie komisarza obwodu. Wraz z dołączonemi rubrykami na odwrotnej stronie w dziewięciu egzemplarzach, wysłano go do wszystkich gmin obwodu. Pierwszy egzemplarz okólnika obszedł 24 gminy od 3—8 września, jak świadczą potwierdzenia, drugi od 3—7 września 12 gmin, trzeci 12 gmin od 3—8 września, czwarty 14 gmin od 3—6 września, piąty 14 gmin od 3—8 września, szósty 14 od 3—9 września, siódmy 17 gmin od 2—6 września, ósmy 19 gmin od 4—14 września, dziewiąty 17 od 4—12 września. Kurenda ta miała następujące rubryki: 1) Gmina. 2) Odebrano dnia, miesiąca, roku, o godzinie. 3) Odesłano dnia, miesiąca, roku, o godzinie. 4) Podpis odbierającego. Jak z tego widać, postępowano bardzo skrupulatnie. Nadto była pod rubrykami następująca uwaga:

„Niniejszy okólnik zapieczętowany w kopertę spiesznie konnymi posłańcami wysłany być ma. Ostatnia zaś gmina zwróci go napowrót do biura komisarza obwodu.

Hrubieszów, dnia 1 września 1834 r.

L. S. Za komisarza obwodu:

Jasiński, adjunkt.

Również z Janowa przychodzi raport z negatywną odpowiedzią por. Nr. 112 — tak, że wogóle w całej guhernii lubelskiej nie skonfiskowano ani jednego egzemplarza poszukiwanej książki.

II. Mochnacki.

Już wcześniej robiono oddzielne poszukiwania za dziełem innego patryoty i rewolucyonisty, Maurycego Mochnackiego.

Dnia 14 maja 1834 wychodzi zakaz dzieła p. t. „O rewolucyi w Niemczech" Mochnackiego, a tłumaczonego na język fran-

cuzki przez „Chądawskiego czyli Chłędowskiego". Aktu tego nie mamy, gdyż brak fascykułu aktów z pierwszej połowy 1834 r. Są natomiast odpowiedzi donoszące o wyniku poszukiwań.

Akt Nr. 76.

Do jaśnie wielmożnego Radzcy stanu prezesa Komisyi województwa lubelskiego.

W skutku rozkazu sobie w dniu 14 przeszłego miesiąca Nr 35 wydanego ma za powinność odraportować, że dzieła napisanego „O rewolucyi w Niemczech" a tłomaczonego na język francuzki przez Chądawskiego czyli Chłędowskiego w księgarniach tutejszych nie masz, gdyż najściślejsza w tej mierze rewizya dopełnioną została jakoteż, że i przez handlującą publiczność wprowadzonem nie zostało do miasta Lublina, gdyż najakuratniejsze do śledzenia przy wydarzanych towarów expedycyi uskutecznionem jest i jeżeli o takowego istnieniu poweźmie wiadomość, nieomieszka ono zabrać lub w razie niemożności natychmiast zdać stosownego raportu.

W Lublinie, dnia 4 czerwca 1834.

Zieliński.

Dalsze raporta negatywne nadchodzą od komisarzy wojewódzkich i naczelników komór nadgranicznych. Ciekawe są tutaj środki ostrożności, przedsięwzięte przez graniczne urzędy celne i straż graniczną.

Do jaśnie wielmożnego Radzcy stanu prezesa komisyi województwa lubelskiego.

Akt Nr. 81.

W Kszeszowie 4 czerwca 1834 r. Rewizor wojewódzki donosi jakie względem przechodu książek zakazanych w kraj Królestwa Polskiego wydał rozporządzenie komorom pogranicznym celnym i nadstrażnikom granicznym.

Po odebraniu reskryptu Jaśnie wielmożnego Radzcy stanu prezesa komisyi wojewódzkiej z daty 14 maja r. b. Nr. 35 dotyczącego uwiadomienia, że znana partya książek zakazanych za pośrednictwem obywateli i żydów przez granicę w kraj Królestwa polskiego wprowadzoną została, natychmiast rozkaz do komór pogranicznych celnych wydałem, aby pod najsurowszą odpowiedzialnością zza granicy do kraju przybywających ściśle rewidując, zarazem dostrzegali czyli książek zakazanych nie wiozą. Nadstra-

żnikom granicznym również dopilnowanie, aby punktami zakazanemi w mowie będące książki nie wciskały się i w straży granicznej nadzwyczajną pilność wzbudzić w wykrywaniu przewożących dzieła zakazane nakazawszy, każdemu w szczególności do książki patrolowej wydany rozkaz zapisać sam w obowiązku poleciłem. Sam zaś w skutku z daty cytowanego rozporządzenia dołożę największej usilności starając się wyszukać dzieło na francuzki język przetłomaczone „O rewolucyi w Niemczech“ a w przypadku dostrzeżenia postąpić wedle rozkazu.

O czym powinny raport mam honor złożyć.

Koguludzki (?).

Raporta o wyniku poszukiwań za dziełem Mochnackiego nadpływały powoli i niedbale, zatem dnia 11 czerwca 1834 wysłano urgens do zalegających z raportem. Na to pismo następuje szereg odpowiedzi negatywnych Nr. 77, 78, 84, 85. Jak widać z pisma Nr 88 naczelnicy komór również na swoją rękę obostrzali rewizyę, ale bezskutecznie.

Akt. Nr. 88.

Nr. 502. Łuszków, 15 czerwca 1834.

Do Jaśnie Wielmożnego radzcy stanu prezesa komisyi województwa lubelskiego.

Podpisany w zastępstwie naczelnika komory Łuszkow na wskutek polecenia z dnia 14 maja r. b. Nr. 35 i z dnia 31 maja r. b. Nr. 65 oznaczonego ma honor donieść, jako w celu pewniejszego wykrycia dzieła pod tytułem „O rewolucyi w Niemczech“ podpisany pod najsurowszą odpowiedzialnością wydał rozkaz obu arendarzom domy zajezdne utrzymującym, aby żadnemu pasażerowi lub wędrownikowi popasu, noclegu, ni momentalnego spoczynku w swych domach nie dozwalali dopokąd wprzód na urzędzie komory obrewidowanemi i wyexpedyowanemi nie zostaną. Wszelako przy najściślejszem dopełnieniu rewizyi osób i rzeczy rozmaitych pasażerów i przechodniów z Rosyi tudzież do Rosyi granice przebywających rzeczone dzieło dotąd dostrzeżone nie zostało.

W późniejszym jednak czasie, jeżeli dostrzeżone będzie, polecenie względem niego zapadłe swój skutek z wszelką przynależną gorliwością odbierze. *Zdanowicz.*

Podobnie jak w sprawie „Pana Tadeusza“, księgarze składają deklaracye, że dzieła Mochnackiego nie posiadają.

Akt Nr. 95 załącznik.

DEKLARACYA

mocą którego, ja niżej podpisany zeznaję, że dzieła pod tytułem „O rewolucyi w Niemczech“ przez Chądowskiego czyli Chłędowskiego napisanego a na język francuski przez Mochnackiego tłumaczonego nigdy nie miałem ani zapisywałem ani drogą właściwą lub uboczną komu bądź przywieść sobie w kraju lub z zagranicy nie polecałem ani takowe mam ani też mieć życzyłem sobie. — Gdyby zaś przypadkiem jakąbądź drogą dzieło to rąk moich doszło natenczas deklaryę złożyć właściwej władzy i na to wszystko własnoręcznie się podpisuję.

Lublin, dnia 20 maja 1834 roku.

(Podpisano) *Kazimierz Szczepański.*

Za zgodność *Lipowski.*

Kopia.

DEKLARACYA.

Podpisany właściciel drukarni hebrajskiej w Józefowie Ordynackim i handlujący własnej fabryki książkami za dozwoleniem krajowej cenzury zeznaje, że nie miałem i nie widziałem książki pod tytułem „O rewolucyi w Niemczech“ przez Mochnackiego napisanej a przez Chodawskiego czyli Chłędowskiego na język francuski przetłomaczony, a gdybym kiedy one gdzie dostrzegał lub nabył nieomieszkam złożyć ją rządowi z doniesieniem od kogoby takowa pochodziła; wrazie zaś przeciwnym podaję się wszelkiej stąd mogącej odpowiedzialności.

Józefów, dnia 28 maja 1834 roku.

(Podpisano) *Szaja Wax.*

Takową deklaracyę stosownie do rozporządzenia Wgo komisarza obwodu Zamojskiego w dniach 20 maja r. b. Nr. 39 od handlującego książkami Szay Wax odebrałem.

(Podpisano) *Szczeciński,* Burmistrz.

Za zgodność *Bijeyko.*

Ad Nr. 85 i 95. Na podstawie poprzednich raportów, załączając deklaracye księgarzy z całego okręgu lubelskiego, radzca stanu prezes przesyła sprawozdanie szczegółowe do dyrektora głównego prezydującego etc., że dzieła Mochnackiego nie wyśledzono pomimo najściślejszej rewizyi.

III. Hoffmanowa.

Również Klementyna z Tańskich Hoffmanowa znalazła się na indeksie rządowym.

Akt Nr. 72. Sekretnie.

Dyrektor główny prezydujący w Komisyi rządowej spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia publicznego.

Z powodu otrzymanej wiadomości, że dzieła Klementyny z Tańskich Hoffmanowej przedrukowane zostały w Wrocławiu i mają zawierać w sobie myśli, wyrażenia i nowe dodatki szkodliwe i niezgodne z zamiarami rządu, oraz że na te dzieła zbierana była prenumerata w Królestwie polskiem, — polecam JW. Prezesowi mieć czujną baczność, aby takowe dzieła wydrukowane w Wrocławiu, nieprzechodziły przez granicę tajnym sposobem i nierozszerzały się w publiczności bez dozwolenia teraźniejszej cenzury, która otrzymała w tym przedmiocie osobne polecenie.

Generał Lejtnant *E. Gołowin.*

Nr. 111. Warszawa, dnia 16/28 maja 1834.

Do JW. Prezesa Komisyi województwa lubelskiego.

Na podstawie tego pisma wysyła prezes komisyi wojewódzkiej okólnik dnia 3 czerwca 1834 do podległych mu organów, by śledzono dzieła Hoffmanowej i zdano mu później raporta, które też wpłynęły pod Nr. 141 z obwodu zamojskiego i janowskiego; wszelkie rewizye podjęto bez rezultatów.

Józef Seruga.

(Dokończenie nastąpi.)

Notatki.

Ludziom, znającym stosunki galicyjskie, wiadomem było odrazu, że uchwały majowe, przyjęte z entuzyazmem przez kraj, nie zmienią ducha i metod wielu polskich przedstawicieli w Wiedniu. Wiadomem było, że stronnictwa, które całą swoją psychologię i umysłowość przystosowały do gruntu galicyjsko-wiedeńskiego, czuć się będą niedobrze w nowej atmosferze. Nikt się nie spodziewał, by konserwatyści krakowscy przejąć się mieli lojalnie temi uchwałami. Byłoby to sprzeczne z ich całym charakterem politycznym. Ale już nikt się nie spodziewał, by ci konserwatyści, na posiedzeniu Koła Polskiego, zwołanem w celu likwidacyi N. K. N., zechcieli wystąpić wprost przeciw uchwałom majowym. Dużo w tem było, delikatnie mówiąc, śmiałości, albo też starczego uporu. A już zręczną deklaracya hr. Zdzisława Tarnowskiego nie była. Zaślepienie polityczne zadaleko zaprowadziło starych mistrzów w sztuce ratowania pozorów. Odrazu ujawniła się ogromna przepaść między stronnictwami, które mają oparcie w opinii społeczeństwa, a stronnictwami, opartymi wyłącznie tylko na maszynie wyborczej i różnego rodzaju subwencyach. Okazało się, jak znikomą garstką są ci, którzy chcieliby politykę polską zawrócić siłą z raz obranej drogi. Wtedy, gdy opinia polska była bezwzględnie skrępowaną, wtedy garstka ludzi mogła narzucać się innym i siłą wysuwać się na czoło. Ale dzisiaj, po zwołaniu parlamentu, po przebudzeniu się życia politycznego w kraju, lepiej było może dla stronnictwa konserwatywnego nie podejmować próby sił, gdyż ta próba doprowadziła je do jaskrawego osamotnienia.

Ale pisma konserwatywne i „demokratyczne“ nie rozpaczają z powodu przebiegu obrad dnia 2. września. Albowiem „Naczelny Komitet Narodowy“ nie został formalnie rozwiązany — tym wynikiem głośno się cieszą. Trudno tę radość zrozumieć. Komitet ten

nawet przez chwilę nie był Naczelnym, ani Narodowym. Przez krótki moment skupił ogół stronnictw Galicyi, a potem szczuplał coraz bardziej, opuszczany przez wybitniejsze jednostki i przez wybitniejsze stronnictwa. Pozostali wreszcie krakowscy konserwatyści i demokraci i kilku ekssocyalistów, obecnie odbywających ewolucyę ku konserwatyzmowi krakowskiemu. Każdy człowiek spokojnie oceniający wypadki zapyta: czyż trzeba jeszcze formalnie rozwiązywać tę nieliczną spółkę partyjną? Czy może ona nosić miano Naczelnego Komitetu Narodowego?

Ale cóż zrobi gromada płatnych funkcyonaryuszy w ciężkich czasach wojennych? Cóż zrobi spora garść różnych dyplomatów, którym w razie rozwiązania N. K. N. grozi degradacya do niewdzięcznej roli pospolitego landszturmisty? Cóż zrobią przedewszystkiem ambitni politycy, którzy chcą działać, chcą reprezentować naród, a nie mają do tego innego terenu? A więc wbrew opinii ogromnej większości stronnictw, które kiedyś N. K. N. powołały do życia, wbrew woli powszechnej, ten N. K. N. nie przestanie istnieć! Stracił kontakt ze społeczeństwem, stracił kontakt z Legionami, ale nie stracił oparcia o obce żywioły i to go wyłącznie podtrzymuje przy życiu, zarówno pod względem duchowym jak i materyalnym. Ciężkoby było wyżyć w tych warunkach temu, kto dla swoich czynów szuka aprobaty w opinii narodowej. N. K. N. gdzieindziej szuka aprobaty.

Mimo takiego osamotnienia N. K. N. znów próbuje buńczucznie narzucać się społeczeństwu, dawać mu wskazania polityczne. Miesza swoje trzy grosze do sprawy budowy państwowości w Królestwie. W tej chwili toczą się tam pertraktacye między władzami okupacyjnemi, a czynnikami miejscowymi o warunki, wśród których ma się dokonywać budowa państwa. Władze okupacyjne występują z daleko sięgającemi żądaniami. Galicyjski N. K. N. idzie jeszcze dalej. W ostatnich dniach jego wiceprezes, prof. Wł. L. Jaworski, ogłosił *sui generis* manifest do narodu, w którym w dyktatorski sposób wyjaśnia znaczenie aktów z 12. września i konkluduje w ten sposób:

„Pierwsze kroki przeto nowych organów państwowych polskich, powołanych obecnie do życia, dadzą się w następujące trzy postanowienia ująć: 1. Przymierze państwa polskiego z mocarstwami centralnemi; 2. Współudział w wojnie przeciwko Rosyi po ich stronie; 3. Formacya wojska polskiego na zasadzie rekrutacyi“.

Z łatwo zrozumiałych przyczyn wstrzymujemy się od omówienia pełnej treści tego programu politycznego. Ale możemy się zapytać: jakiem prawem występuje prof. Wł. L. Jaworski z tego rodzaju wskazówkami pod adresem miarodajnych czynników politycznych w Królestwie? W czyjem imieniu to robi? Co prawda to wystąpienie nie jest tak groźne, jakby się zdawać mogło, gdyż fikcya reprezentowania dzielnicy galicyjskiej przez N. K. N. już dawno upadła. Królestwo Polskie, we wszystkich swoich odłamach, jest już dobrze poinformowane, kogo reprezentuje ów Komitet. Nikt tam za wystąpienie prof. Wł. L. Jaworskiego nie zrzuci odpowiedzialności na społeczeństwo galicyjskie. Ale w każdym razie ponosi ono część winy, jeżeli na jego gruncie może wyrastać tego rodzaju robota polityczna i uchodzić bezkarnie.

Był czas, gdy N. K. N. po nieudałych próbach występowania w imieniu całego narodu, próbował pociągnąć za sobą Królestwo przez propagandę publicystyczną, przez cichą agitacyę, przez obnoszenie polskich godeł narodowych i drobną ich sprzedaż. Na zewnątrz swojego zdania nie narzucał, godził się na uznanie samodzielności polityki Królestwa Polskiego. Ale nie pozyskał tam „rządu dusz“ — jedna instytucya N. K. N. za drugą musiała zwijać swoje agendy, musieli znikać z horyzontu Królestwa nasłani tam ludzie. Dzisiaj, gdy łagodniejsze metody zawiodły, próbuje N. K. N. manifestem zyskać sobie uznanie, próbuje w niezbyt taktowny sposób narzucić Królestwu kierunek rozwiązania aktualnych tam zagadnień. Ale i to na nic się nie zda. Nie zyska na tem ani N. K. N., ani polityka, którą on reprezentuje od trzech lat w sposób coraz bardziej nieszczęśliwy.

*
* *

Z powodu patentów z dnia 12. września Polskie Biuro Prasowe w Bernie rozesłało do pism szwajcarskich dłuższy komunikat, który kończy się słowami:

„Nie wchodząc w szczegóły ostatnich patentów i w ich krytykę, trzeba stwierdzić, że zarówno suwerenność państwa polskiego jak i zakres władzy państwowej ograniczają one w dwóch kierunkach. Na wewnątrz — licznymi przywilejami generał-gubernatorów, na zewnątrz — przez wykonywanie międzynarodowych atrybutów państwowych aż do czasu zniesienia okupacyi. Gdyby nawet ograniczenia pierwszej kategoryi, jako może dostosowane

nawet do ostatecznych granic konieczności wojennych i potrzeb wojskowych, dało się w pewnej mierze pogodzić z autorytetem polskiej władzy państwowej — to natomiast międzynarodowe ograniczenia zupełnie sprzeciwiają się żądaniom narodu polskiego. Żądania te sprecyzowano zresztą w memoryale Rady Stanu z dnia 3. sierpnia. Swój praktyczny wyraz znajdują one w powszechnej woli narodu, aby interesy i dążności narodowe były odpowiednio reprezentowane na kongresie pokojowym, a dalej w dogmacie, aby to zastępstwo nie było ustanowione przez kogokolwiek innego, jak tylko przez najwyższą władzę państwową na polskiej ziemi w Warszawie".

Tempora mutantur! Nie upłynął jeszcze rok od czasu, kiedy został wydany akt 5. listopada. Wtedy organy, reprezentujące politykę N. K. K. w kraju i zagranicy, nie pozwalały na najlżejszą krytykę, na najmniejszą wątpliwość co do tego aktu. Różne brukowe i niebrukowe pisma w Warszawie i na prowincyi nazywały zdrajcami tych, którzy nie chcieli stanąć natychmiast na tej platformie; zagranicą robiono wielką reklamę temu aktowi, oburzano się na tych, którzy przy tej sposobności podnosili ideę zjednoczenia. Pamiętamy, jakiego krzyku narobiono z powodu tak zw. protestu lozańskiego! Obecnie ukazał się akt, który niewątpliwie co do zakresu działania przyznanego czynnikom polskim idzie dalej od aktu 5. listopada. I znowu czytamy protest, rozesłany przez Polaków do neutralnej zagranicy, tym razem jednak protest wychodzi z Berna, nie z Lozanny; wysyła go Polskie Biuro Prasowe, utrzymywane przez N. K. N., pozostające w kontakcie z Tymczasową Radą Stanu w Warszawie. Widocznie już dzisiaj zanikły obawy, że tego rodzaju protesty i zastrzeżenia obniżają powagę tych aktów, że zrażają obcych, że oznaczają... wysługiwanie się koalicyi. Miejsce uroczystego zachwytu zajął chłodny krytycyzm. Niezadowolenie jest zupełnie wyraźne.

Wspomniany komunikat zwraca się najostrzej przeciw postanowieniu, odbierającemu Królestwu Polskiemu prawa przedstawicielstwa międzynarodowego aż do zniesienia okupacyi. Psychologicznie jest to zupełnie zrozumiałe u Polskiej Ajencyi Prasowej, która widzi, że państwa centralne nie otwierają różowych perspektyw przed zamierzoną przyszłą jej działalnością. Uznają one, że politykę polską na zewnątrz mogą reprezentować tylko te czynniki, które okupują Królestwo. Komunikat Biura prasowego słu-

sznie powołuje się na wolę całego narodu, który pragnie, by był odpowiednio reprezentowany na kongresie pokojowym. Istotnie naród chce być reprezentowanym na kongresie, ale tak pragnie cały naród polski; a z tym postulatem nie godzi się twierdzenie, postawione jako „dogmat“, że to przedstawicielstwo może być ustanowione tylko przez najwyższą władzę polską w Warszawie, a nie przez kogokolwiek innego. Albowiem tak jak obecnie się sprawy przedstawiają, owa najwyższa władza państwowa w Warszawie, choćby nawet była naprawdę władzą, będzie w dzisiejszych warunkach tylko władzą nad c z ę ś c i ą Polski, będzie władzą na polskiej ziemi, ale nie na całej polskiej ziemi. A tymczasem dążenie do uzyskania własnego narodowego przedstawicielstwa jest równie silnie we wszystkich polskich ziemiach. Musi znaleść się sposób, zaspokajający równomiernie to dążenie i dlatego wyłącznego prawa przedstawicielstwa nie można przyznać jednej dzielnicy.

Co się jednak stanie, jeżeli patent, wydany tak uroczyście, zostanie utrzymany do końca wojny, a w myśl jego powstające państwo polskie nie uzyska w ciągu pertraktacyi pokojowych swojego przedstawicielstwa na zewnątrz? Wtedy trudna rada, musimy w myśl omawianego komunikatu zrezygnować z niego; inaczej wykroczylibyśmy przeciw dogmatowi narodowemu, według którego przedstawicielstwo polskie na kongresie pokojowym może być ustanowione tylko przez władzę polską w Warszawie. Jeżeli więc moglibyśmy dostać się na kongres tylko inną drogą, to nam nie wolno z tej drogi korzystać. Niechaj nie będzie przedstawicielstwa polskiego, niżby ono miało powstać w sposób sprzeczny z dogmatem!

Widzimy odrazu, do jakich absurdów doprowadza powyższe stanowisko. Biuro prasowe w Bernie bardzo dobrze robi, że protestuje, ale trochę gorzej, gdy proklamuje tego rodzaju dogmaty narodowe. Nie jest to jednak tragiczne, bo można mieć nadzieję na podstawie działalności czynników, które stoją za tem Biurem, że może jeszcze zmienią swoje zdanie. Albowiem, jak dotychczas, nie ogłosiły one i nie mają chyba podstaw, by ogłaszać także dogmat własnej nieomylności politycznej.

* * *

W najbliższym numerze „Roku Polskiego“ zajmiemy się obszerniej omówieniem aktu z dnia 12. września z punktu widzenia pra-

wnego. W tej chwili na jeden tylko objaw chcemy zwrócić uwagę: na przyjęcie, którego ten akt doznał w prasie polskiej i w prasie niemieckiej. Przyjęcie to było niejednakowe. Pomijajmy już pisma, które były przeciwne wydawaniu tego aktu, a ograniczmy się do dzienników, życzliwie traktujących myśl budowy państwa polskiego na podstawach, zakreślonych aktem z dnia 5. listopada 1916 r.

Otóż prasa polska ma zwyczaj, wobec wszelkich takich aktów, wydawanych w sposób uroczysty, przybierać ton również uroczysty. Tam gdzie brak myśli, tam znajduje się frazes z całą łatwością; i tak w listopadzie roku zeszłego, jak we wrześniu roku obecnego roztoczyła się po różnych dziennikach olbrzymia powódź frazesów. Czytaliśmy więc o marzeniach naszych ojców, o granitowych podstawach państwa polskiego, o epokowym przewrocie, który sprowadzi pokój, o pełnym powagi nastroju polskiego społeczeństwa — ale natomiast brakło trzeźwej, rzeczowej oceny tego aktu, któraby sprowadziła go do właściwej miary na horyzoncie międzynarodowym. Próbowali też niektórzy przedstawić ten akt jako coś nienaruszalnego, na gruncie czego musi każdy stanąć bez wahań i zastrzeżeń.

Taki nastrój panował przez dzień, dwa dni w prasie polskiej. Tymczasem nadeszły pisma austryackie i niemieckie. Pokazało się, że te dzienniki zadają sobie trud przeczytania i skomentowania poszczególnych postanowień, zawartych w patencie. Krytyka ta nie zawsze wypadła w sposób entuzyastyczny. Naprzykład niepodejrzana chyba o „passywizm“ „*Oesterreichische Morgenzeitung*“ z Morawskiej Ostrawy oceniła surowo ten akt ze względu na całą masę zawartych w nim zastrzeżeń, małostkowych ograniczeń, poprostu ze względu na to, że niewiele on zmienia istniejący „dualizm“ Królestwa Polskiego. Wtedy i w prasie np. krakowskiej zjawiła się refleksya, powiał jakiś chłodniejszy wiatr i ostudził pierwotne entuzyazmy.

Jakże niesłusznym jest pogląd, który zarzuca Polakom, że są niepoprawnymi maksymalistami, że pragną niewiedzieć czego, że niczem ich niepodobna zaspokoić. Jeżeli mamy sądzić według przyjęcia, którego doznał akt z 12. września 1917 r. w znacznej części prasy polskiej, to możnaby nabrać zupełnie innego wyobrażenia o naszych wymaganiach.

Sprawozdania.

„Nowy Śpiewnik Polski“ zebrany przez Wł. Jeziorskiego. Nakładem C. B. W. Kraków.

Niedawno temu prasa, popierająca istnienie N. K. N., wyliczając rozmaite jego zasługi, zwróciła uwagę na działalność wydawniczą tej instytucyi. Ta działalność jest istotnie bardzo obfita, co dowodzi tylko, jak wielkimi funduszami rozporządzał N. K. N. i jak wiele osób otrzymało od niego honorarya autorskie. Natomiast jakość tej działalności inaczej się przedstawia. Mniejsza o to, że wydano wiele rzeczy, które nic z N. K. N. wspólnego nie mają; mniejsza nawet o to, że wydano całą masę rzeczy lichych, bezwartościowych pod względem naukowym i literackim; ale są publikacye, które grzeszą przeciw najelementarniejszej uczciwości wydawniczej.

W r. 1917, nakładem Centralnego Biura Wydawnictw N. K. N., ukazał się „Nowy Śpiewnik Polski“, zebrany przez Wł. Jeziorskiego. Są tam pomieszane poważne pieśni narodowe z lichemi piosenkami pseudo-żołnierskiemi. Są tam trawestacye różnych dawniejszych pieśni, uwzględniające w szerokim zakresie nazwisko Józefa Piłsudskiego. Ostatecznie jeżeli ktoś mazurek Dąbrowskiego przerabia i releguje z niego nazwisko twórcy Legionów, to już jest rzecz gustu, trudno na to doradzić. Ale natomiast w tym zbiorku mamy coś gorszego, niż trawestacye, mamy pospolitą falsyfikacyę. Na str. 30. mamy wydrukowane „Hasło“ Maryi Konopnickiej, ale w mocno zmienionej postaci. Druga zwrotka brzmi w ten sposób:

„Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Moskiewska zawierucha“.

A zwrotka trzecia:

„Nie będzie Moskal pluł nam w twarz,
O b i e t n i c a m i m a m i ł;
Wstanie potężny hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił“.

I pod tem wszystkiem najspokojniej umieszcza się podpis Maryi Konopnickiej.

Jeśli ktoś podrabia lub przerabia jakiś dokument i umieszcza pod tem nazwisko autora oryginału, zowie się poprostu fałszerzem. Innej nazwy nie można znaleść dla tego rodzaju metody robotniczej, która zniekształca popularną pieśń narodową dla pewnych celów politycznych.

Dzisiaj „Hasło“ Konopnickiej stało się jedną z najbardziej rozpowszechnionych pieśni narodowych. Śpiewa się je wszędzie, ale już w nieskażonem wydaniu. Nawet ci, którzy posługiwali się może „poprawionem“ wydaniem N. K. N. ci wolą teraz oryginał, odrzucając na bok wszelkie przeróbki. Praca wydawnicza, N. K. N. spełzła na niczem, tak jak rozbiła się w nicość cała jego działalność oparta na podrabianiu i tendencyjnem przerabianiu ideałów narodowych.

* * *

„Austrya oraz pismo austryackich skautów“. Wiedeń 1917.

Wychodzi w Wiedniu pewne pismo polskie, mało znane, a mniej może jeszcze czytywane przez koła, którym je poświęcono. Posiada zaś językowo tak oryginalny charakter, że warto je istotnie poznać, tembardziej iż według pomieszczonej w niem uwagi, popiera je między innemi Krajowa Rada Szkolna. Nosi tytuł: „Austrya oraz związkowe pismo austryackich skautów“. Nie wdając się w ocenę treści wydawnictwa, poprzestaniemy tylko na powtórzeniu wyjątków, zaczerpniętych z jednego zeszytu za Styczeń i Luty 1917 r., zawierającego cztery kartki zwykłej osemki.

Wyrażając żal, że dotychczas nie było jednej ogólnej organizacyi młodzieży w państwie austryackiem, redakcya zapowiada, że w przyszłości powinno się zwrócić baczniejszą uwagę na młodzież i „poddać ją pod jednolity przewód i poprowadzić w młodo-austryackim duchu“. Program prac skautowych, ogłoszony w tym zeszysie zawiera między innemi: „ćwiczenia wstawowe“, „oglądanie przyrody“, a może także „znaleść przystosowanie i do dziewcząt“. „Ideałem młodzieży powinno być: stać krzepkim na ciele i duchu człowiekiem i Austryakiem“.

Z części informacyjnej dowiadujemy się, że dla „Młodej Austryi“ rząd „przyznaczył“ 60.000 par trzewików z „drzewianemi“ podeszwami, a „kilkatygodniowe osobiste doświadczenie nie dało przyczyny do narzekań na tarcie lub gniecenie“. Obuwie to można nabywać za pośrednictwem redakcyi, przyczem „od każdej pośredniczonej pary“ płaci się 10 halerzy, z czego czysty zysk będzie znowu „przyznaczony na dobroczynne cele w korzyść młodzieży“. „Można także zgłosić się za trzewikami osobiście“. Ktoby handlował takiemi trzewikami w celach zarobku, „staje się winnym oszustwa na dobroczynnej instytucyi“. Jeśliby zaś znaleźli się życzliwi ofiarodawcy butów, to „imiona ich i ilość rozdanych trzewików będzie ogłoszona w czasopiśmie“. W dalszym ciągu godnie ze sobą kolegują „polny telefon“, stacye „wyjezdna“ i „przyjezdna“, „szkic do pojaśnień pociągowych meldunków“, „most zbudowany kolejową kompanią“, „Leydeńska flaszka“ i wzmianka o potomkach „germańskich Cymbrów, pobitych Maryuszem“. Z opowiadania o dobrym uczynku wyróżnia się stylistycznie następujący wyjątek: „Staruszka zgodziła się na to z niedowierzaniem, ale wreszcie zrozumiała szlachetny poryw młodzieńca, który zabrał się do maglowego koła, dając tem samem staruszce możność wypicia garnuszka kawy“. Redakcya zachęca wogóle

młodzież do dobroczynności i cnót miłości bliźniego i żywi nadzieję, że odezwa wydana w tym duchu do skautów i skautek „przyniesie płód“.

Czy i jaki „przynosi płód“ to austryacko-polskie wydawnictwo, niewiadomo, nie wiemy też, kto jest tym wiedeńskim znawcą i ekspertem naszego języka. Jeśliby sądzić po owych mieszkających na włoskiej granicy Tyrolu „potomkach Cymbrów, pobitych Maryuszem“, to będzie nim zapewne także *sui generis* Tyrolczyk, *nota bene* „Tyrolczyk wschodu“.

Od Redakcyi.

Numer obecny uległ opóźnieniu z powodu bardzo wielkich trudności drukarskich.

Czytelników, którzy nie zapłacili prenumeraty za drugie półrocze 1917 r., prosimy, by to zrobili w najkrótszym czasie.
